

Barbara Cartland

Kobiety też mają serca

Przełożył z angielskiego Michał Madaliriski

OD AUTORKI

Kiedy w początkach naszego stulecia Dakar stawał się centrum francuskiego imperium kolonialnego w Czarnej Afryce, wymagał stworzenia odpowiedniej infrastruktury tak, aby Europejczycy znaleźli tam znośne warunki życia. Biała ludność Dakaru wzrosła ze 125 pracowników kompanii handlowych w 1900 roku do 2,5 tysiąca w 1910 r. W realizacji celów francuskiej polityki kolonialnej i asymilacyjnej w Senegalu coraz większą rolę odgrywały europejskie kobiety. Do 1926 roku znalazło się ich tam blisko półtora tysiąca. Ich wpływ na tamtejszą sytuację był kolosalny. Pojawiła się nawet cała seria poradników dla pań mieszkających w koloniach. Należały tu na przykład takie pozycje, jak „Opieka nad dzieckiem afrykańskim”, „Badania flory i fauny”. W tym towarzystwie strój wieczorowy obowiązywał na każdym spotkaniu.

Kiedy odwiedziłam Dakar w 1979 roku, zrobił na mnie wrażenie pięknego miasta i wspaniałej miejscowości wypoczynkowej. Prezydent Senegalu, Leopold Sedar Senghor, jest jednocześnie najślawniejszym współczesnym francuskojęzycznym poetą symbolistycznym. Jego polityce popierania czarnej kultury i sztuki — negritude — zawdzięczamy powszechne uznanie dla wkładu Czarnych w kulturę światową.

ROZDZIAŁ 1

1899

Kelda szła korytarzem, kiedy usłyszała płacz. Zatrzymała się nasłuchując. Płacz dochodził z pokoju Yvette de Villon. Kelda stała nieruchomo, powstrzymując się, by nie zapukać do drzwi i nie zapytać, co się stało. Nie należy wtrącać się w sprawy starszych panienek.

Pani Gladwin uświadomiła jej to bardzo jasno, kiedy awansowała ją z „trochę więcej niż służącej”, czyli dziewczyny do czarnej roboty, której nikt inny nie chciał tknąć, na stanowisko „pomocy nauczycielki”.

— Ponieważ dobrze grasz na fortepianie — powiedziała wtedy swoim twardym głosem, zarezerwowanym specjalnie dla podwładnych — będziesz nadzorować młodsze panienki, gdy ćwiczą i odrabiają zadania. To odciąży nauczycielkę. — Przerwała, jakby zastanawiając się, co by tu jeszcze wrzucić na barki Keldy, i dodała: — Oczywiście, twoje

obowiązki w zakresie prania, szycia i naprawiania garderoby pozostają nie zmienione, ale i tak możesz tę zmianę uważać za awans i mam nadzieję, że to odpowiednio docenisz.

— Tak jest, psze pani, dziękuję — powiedziała odruchowo Kelda.

Pani Gladwin spojrzała na nią krytycznym okiem.

— Uważam, że twoja sukienka jest zbyt obcisła. Prawie nieskromna.

— Chyba z niej wyrosłam — powiedziała przepraszająco Kelda.

— Poszerz ją więc!

— Już to zrobiłam, proszę pani.

— Pretekst, tylko pretekst, żeby wyciągnąć ode mnie pieniądze! — wykrzyknęła pani Gladwin. — Możesz odejść.

Opuszczając wtedy gabinet przełożonej, Kelda czuła na karku jej nieprzychylny wzrok i westchnęła z ulgą, kiedy znalazła się wreszcie na korytarzu.

Wiedziała, że pani Gladwin jej nie lubi, chociaż uważa za użyteczną. Dziwiło ją to, dopóki jedna ze starszych pańienek nie wytłumaczyła jej, dlaczego tak jest.

— Schodź z drogi Potwora — ostrzegła ją owa panienka. — Ona wykopała przeciwko tobie wojenny topór. Jesteś za ładna.

Kelda była wtedy zbyt zaskoczona, żeby coś odrzec, ale wieczorem, gdy wreszcie mogła się schronić w pokoiku na poddaszu, gdzie sypiała, spojrzała w małe zszarzałe lustro nad komodą. Czyżbym rzeczywiście była ładna? — zadała sobie pytanie i — ku własnemu zdumieniu — uświadomiła sobie, że to prawda.

U pani Gladwin znalazła się, kiedy miała piętnaście lat, prosto z sierocińca. Spędziła tam trzy wcześniejsze lata.

Jej rodzice zginęli podczas trzęsienia ziemi w Turcji. Filip Lawrence był archeologiem i Narodowe Towarzystwo Geograficzne wysłało go tam z ekspedycją, a ponieważ bardzo nalegał, w drodze wyjątku opłacono również wyjazd żony. Ale Filip wyskrobał jakoś pieniądze i wziął ze sobą także jedyne dziecko. Kelda, przyzwyczajona do tego, że towarzyszyła rodzicom w podróżach, kochała chwile spędzone z nimi. Tego strasznego dnia jednak, kiedy zginęli, zostawili śpiącą córkę w tanim hoteliku, gdzie zatrzymali się na noc. Zawsze tego gorzko żałowała. Miała potem często płakać nie tylko dlatego, że ich straciła, ale że nawet nie pożegnała się z dwojgiem ludzi, których kochała nade wszystko i którzy byli jej całym światem.

Nigdy nie dowiedziała się, kto zdecydował o tym, aby ją umieścić w sierocińcu na przedmieściach Londynu. Przypuszczała, że jeden z misjonarzy, którzy zaopiekowali się nią po śmierci rodziców. Była w szoku, wszystko wydawało się nierealne. Rzeczywisty stał się dopiero ów sierociniec i świadomość, że jest „tą z przytułku”, tak samo jak pięćdziesięcioro innych sierot w różnym wieku. Wiele z nich przebywało tutaj od urodzenia i te były pogodzone z losem, ponieważ nie znały innego życia. Ale dla Keldy, która została wychowana w miłości i zrozumieniu, przyzwyczajona do partnerskiego towarzystwa ojca i łagodnej słodczy matki, pobyt tam był jak pogrążanie się w otchłani bez widoków na ratunek.

Przez trzy lata pomiatano nią, odmawiano prawa do godności, traktowano jak istotę bez uczuć. Jedzenia dawano skąpo, a na dodatek kiepskie. Zbiorowa sala, w której spała z tuzinem innych dzieci, była w zimie tak zimna, że Kelda drżała pod wytartym kocem, a latem tak przegrzana, że duchota nie pozwalała zasnąć. Jako piętnastolatka z niezmierną ulgą przyjęła wiadomość, że czas opuścić sierociniec i zacząć zarabiać na życie. Wysłano ją na służbę do szkoły dla młodych pańien miss Gladwin. Tu wreszcie mogła słyszeć spokojne, kulturalne głosy i jeść coś, co jej wydawało się dobre, chociaż wychowanki nie

były zachwycone. A co najważniejsze, mogła podjąć na nowo naukę, którą musiała porzucić z chwilą, gdy znalazła się w sierocińcu. Tam większość dzieci nie umiała czytać ani pisać. Nauczyciel ochotnik przychodził wprawdzie na dwie godziny dziennie, ale nie pomyślano o tych, które umiały coś więcej lub — jak Kelda — były wybitnie zdolne. Teraz w szkole mogła brać ze sobą podręczniki na noc do pokoju i chociaż często zbyt zmęczona, żeby przerobić wszystko, co sobie postanowiła, stopniowo zdobyła wiedzę prawie taką, jakiej życzyłyby sobie dla niej ojciec.

Nauczycielki zmieniały się często, ale zawsze znalazła się jedna czy dwie życzliwe; pożyczały jej swoje własne książki, a czasami nawet wyjaśniały rzeczy, których nie rozumiała.

Nauczycielce francuskiego, starszej pani, Kelda nosiła w sekrecie wieczorem do łóżka filiżankę kawy, ona zaś odwdzięczała się rozmawiając z nią po francusku.

— Masz wrodzony paryski akcent, moje dziecko — mawiała — ale musisz ćwiczyć odmianę czasowników. Angolicy są zawsze leniwi, jeśli idzie o koniugację.

Kelda już wcześniej знаła trochę francuski, ale zawzięła się i postanowiła, że będzie mówić równie dobrze jak matka. Potulnie czekała więc wieczorami na mademoiselle i w końcu została nagrodzona. Usłyszała mianowicie:

— Gdyby ktoś cię usłyszał, mógłby wziąć cię za Francuzkę. W ciemności mogłabyś łatwo kogoś nabrać!

Pochwałę tę Kelda nosiła głęboko w sercu, zwłaszcza że był to pierwszy komplement, który w ogóle jej powiedziano.

Pojawienie się w zakładzie Yvette de Villon sprawiło jej wielką radość. Yvette była Francuzką i pochodziła ze sławnej we Francji rodziny.

Keldzie nie wolno było zawierać przyjaźni z panienkami, to było niedopuszczalne. Do jej obowiązków należało obsługa ich, prasowanie i naprawianie odzieży — jednym słowem robienie wszystkiego, z czym sobie nie radziły. Udało się jej jednak zyskać zaufanie Yvette i w rezultacie rozmawiały jak równy z równym.

Teraz wahała się jednak, czy zajrzeć do pokoju Yvette. Nawet uważając się już za jej przyjaciółkę, bała się posunąć za daleko. Yvette, która bywała porywcza, mogłaby być niezadowolona, że się jej przeszkadza w chwili smutku.

Cóż to skłoniło ją do łez? Nie należała przecież do dziewcząt, które szlochają, bo je skarciła nauczycielka albo — jak nowicjuszek — z tęsknoty za domem. Yvette była dumna i w rezultacie nie miała w zakładzie przyjaciółki od serca, do której mogłaby się zwrócić w rzeczywistych czy wymaganych kłopotach.

Jej szloch brzmiał tak rozpaczliwie, że Kelda nie mogła znieść tego dłużej. Zapukała cichutko i po chwili ciszy za drzwiami rozległ się drżący i pełen wahania głos Yvette:

— K... kto tam?

Kelda nacisnęła kłamekę, a nie chcąc, żeby ją ktokolwiek słyszał, szepnęła:

— To ja, Kelda.

— Wejdz.

Wślizgnęła się do pokoju. Był maleńki, tak jak wszystkie pokoiki na pensji, ale kilka ślicznych drobiazgów, które były własnością Yvette, dodawało wnętrzu uroku. Na wąskim łóżku leżała kosztowna koronkowa narzuta, a na krześle poduszka z falbankami. Drzwi szafy były otwarte: wisiało w niej mnóstwo kolorowych sukienek, szytych przez drogie krawców paryskich.

Ale zwykle pogodna twarzyczka Yvette zwrócona teraz ku Keldzie była nie do poznania. Dziewczyna oczy miała zapuchnięte, nosek czerwony, a po jej policzkach płynęły łzy.

— Co się stało?

Kelda spostrzegła w ręce Yvette zmięty list. Druga ręka ścisnęła mokrą od łez chusteczkę.

— Czy coś złego spotkało kogoś, kogo kochasz?

Kelda zawsze coś takiego podejrzewała, gdy ktoś był głęboko zasmucony, pomna na własne uczucia po utracie rodziców, kiedy to nie było nikogo, kto mógłby ją pocieszyć.

— Nie... to nie to — odrzekła Yvette.

— Powiedz, co cię martwi. — Kelda uklękła przy niej. — Może mogłabym ci pomóc?

— Nikt nie może mi pomóc. — Głos Yvette się załamał.

— Powiedz mi — błagała Kelda.

— Dostałam list. List od mojego wuja.

— I to cię martwi?

— Nienawidzę go! Zawsze go nienawidziłam! A teraz mam do niego jechać i zamieszkać z nim!

Kelda wiedziała, że — tak jak ona sama — Yvette jest sierotą. Miała jednakże liczną rodzinę we Francji. Wakacje zawsze spędzała w Paryżu z ciotkami i wujami, a wszyscy oni byli posiadaczami budzących respekt arystokratycznych tytułów,

a także romantycznych chateaux nad Loarą lub rezydencji na południu Francji. Po wakacjach Yvette wracała pełna wrażeń i snuła opowieści o cudownych chwilach tam spędzonych, o przyjęciach, na których bywała. Keldzie wydawało się dziwne, że teraz wpędziło ją to w taką rozpacz, ale nie wyrażała głośno swoich wątpliwości. Powiedziała tylko:

— Nie wiedziałam, że nienawidzisz kogoś ze swojej rodziny. Cóż to za wuj, z którym masz zamieszkać?

— To Anglik — odpowiedziała. — Jest okropny. Jeżeli u niego zamieszkać, już nigdy nie zobaczę Francji i nikogo z moich przyjaciół.

Znów wybuchnęła płaczem i Kelda podniosła się, żeby przynieść z komody czystą chusteczkę. Wsunęła ją przyjaciółce w dłoń i kiedy mała Francuzka ocierała oczy, rzekła:

— Nie wiedziałam, że masz wuja Anglika. Nie wspomniałaś o nim nigdy.

— A po co miałabym wspominać? Powiedziałam ci... nienawidzę go, ale to mąż mojej ciotki.

— Mieszka w Anglii? — zapytała Kelda. — To byłoby niezłe. Masz przecież wiele przyjaciółek Angielek, tu, w szkole.

— Nie mieszka w Anglii — powiedziała Yvette — lecz w Senegal!

Minęła chwila, zanim Kelda przypomniała sobie, gdzie leży Senegal. Doszła do wniosku, że musiała się przesłyszeć.

— Chyba nie masz na myśli Senegal w Afryce Zachodniej!

Yvette skinęła głową.

— Mój wuj mieszka tam, bo nie znosi ludzi. Jest odludkiem, dziwakiem. Dlaczego zmuszają mnie do zamieszkania z kimś takim?

W jej głosie brzmiała rozpacz.

— Czy koniecznie musisz się temu podporządkować? — zapytała z wahaniem Kelda.

— Mama i tata wyznaczyli go moim kuratorem, zanim umarli — odpowiedziała Yvette. Przerwała na moment, żeby wytrzeć oczy. — Wtedy żyła jeszcze ciocia Ginette, młodsza

siostra mojej mamy i, jak sądzę, rodzice uważali, że gdyby coś im się stało, ciocia zastąpi mi mamę. Ale ona zmarła, a wuj Maksym, którego zawsze nienawidziłam, żyje i jestem pewna, że nienawidzi mnie.

— Jeżeli tak jest, to dlaczego chce, żebyś przyjechała i zamieszkała u niego? — zapytała Kelda rozsądnie.

— Myślę, że chce mnie uwięzić w Afryce, gdzie nie będę mogła się widywać z nikim, kogo lubię, gdzie nie będzie przyjęć i żadnych rozrywek, gdzie zestarzeję się i zgorzknieję tak jak on.

— Skąd wiesz, że on naprawdę jest taki? — zapytała Kelda.

— Widziałam się z nim pięć lat temu — odpowiedziała Yvette — a potem widywali go moi krewni i twierdzą, że stał się jeszcze gorszy, niż był przedtem.

Trudno było na to odpowiedzieć. Po chwili Yvette podjęła:

— Łączy się z tym jakaś tajemnica. Zawsze przerywano rozmowę o nim, gdy wchodziłam do pokoju. Często jednak słyszałam, jak kuzyni mówili półzartem, że mam za dużo pieniędzy i pewnie stanę się tak cyniczna jak on.

— Więc jest bogaty — rzekła Kelda. — Pewnie chce ci zapisać cały swój majątek.

— Mam gdzieś jego pieniądze — obruszyła się Yvette — wystarczy mi własnych. Rodzice zostawili mi wszystko, co posiadali. Niestety nie mogę tym dysponować przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia, a więc dopiero za trzy lata. Trzy lata, które mam spędzić z wujem Maksymem, prosząc go o każdy grosz na swoje potrzeby!

Wybuchnęła taką fontanną łez, że Kelda mogła jedynie objąć ją i przytulić.

— Może nie będzie tak tragicznie, jak sobie wyobrażasz — powiedziała, chcąc ukoić jej żal — a zobaczyc Senegal... to może być fascynujące.

Ojciec opowiadał jej o Afryce Zachodniej i chciał tam pojechać. Spędzili niegdyś razem trochę czasu w Algierii, ale to było tak dawno temu, że niewiele pamiętała oprócz słońca i zachwyty rodziców. Algier wydawał jej się zajmującym miastem.

— Zerknę do podręczników geografii, dowiem się czegoś o Senegalii i opowiem ci wszystko — powiedziała. — Gdzie mieszka twój wuj?

— Guzik mnie obchodzi, gdzie mieszka — powiedziała Yvette tonem obrażonego dziecka — pewnie w tak samo ohydny miejscu jak on sam. Z góry nienawidzę każdej chwili tam spędzonej!

— Może będzie lepiej, niż ci się wydaje — rzekła Kelda. — Powiedz, gdzie to jest.

— Możesz sama sobie przeczytać adres — odpowiedziała Yvette rzucając list na podłogę.

Kelda pochyliła się, aby go podnieść. Zarówno koperta, jak i papier listowy, opatrzone imponującym herbem, były w najlepszym gatunku. Okazało się, że wuj Yvette mieszka w Dakarze. Kiedy Kelda czytała adres, jej wzrok musnęła pierwszą linijkę listu, chociaż nie chciała być wścibska. „Droga siostrzenico!” — przeczytała. Uderzył ją ten bardzo formalny zwrot. Powiedziała:

— Myślę, że z książek możemy się sporo o Dakarze dowiedzieć. Z tego, co wiem, to kolonia francuska, więc będziesz miała towarzystwo Francuzów, nie grozi ci więc aż takie osamotnienie, jak sądzisz.

— Chcę mieszkać we Francji — utyskiwała Yvette — chcę żyć w Paryżu, gdzie można tańczyć, gdzie mnie czekają cudowne bale, które mają zostać wydane na moją cześć, kiedy ukończę szkołę.

Kelda wiedziała, że Yvette kończy osiemnaście lat gdzieś na początku przyszłego roku, więc opuści zakład pani Gładwin albo na Boże Narodzenie, albo na Wielkanoc. Lubiła Francuzkę i zdawała sobie sprawę, jak bardzo odczuje jej brak, zwłaszcza że w tej chwili nie było nikogo, kto mógłby zająć jej miejsce.

— Nie wiem, co bez ciebie pocznę — westchnęła ciężko.

— Jak myślisz? Czy gdybym poprosiła, pozwoliliby mi zostać tu dodatkowe sześć miesięcy? — spytała nagle Yvette.

Kelda opuściła wzrok na list, który wciąż trzymała w ręku. Nie wiadomo dlaczego poczuła bijącą zeń nieokreśloną aurę siły i władczości.

— Uważam, że jeżeli twój kurator ci każe, musisz jechać — powiedziała spokojnie.

Yvette zerwała się na równe nogi.

— Dlaczego mam żyć z kimś, kto jest mi nienawistny? Dlaczego ktoś ma mi rozkazywać, nie zapytawszy mnie nawet o zdanie?

Przerwała na chwilę i dodała ze złością:

— Myślę, że wiesz, jaka będzie moja odpowiedź na ten list. Wolę mieszkać w Paryżu w klitce na strychu niż w pałacu w Dakarze.

— On ma pałac? — zdziwiła się Kelda.

— Tak to sobie wyobrażam — powiedziała Yvette — a że z niego taki bogacz i pyszałek, z pewnością obnosi się ze swoim majątkiem przed nieszczęsnymi tubylcami.

Kelda położyła list na stole. Z trudem powstrzymała się, by nie poprosić o zgodę na przeczytanie go.

W niczym nie mogę jej pomóc, pomyślała ze smutkiem. Właśnie miała powiedzieć, jak jej przykro, gdy zaalarmowało je pukanie do drzwi.

— Kto tam? — spytała Yvette.

— Mamselle, przełożona pragnie widzieć panienkę w gabinecie — usłyszały głos jednej z pokojówek. Odeszła, nie czekając odpowiedzi. W korytarzu słychać było jej ociężały krok.

Yvette spojrzała na Keldę.

— Potwór też dostał list i założę się, że roznamiętnił ją arystokratyczny tytuł wuja Maksyma.

Pani Gładwin była snobką, łąszącą się do tych rodziców, których nazwiska pojawiały się w rubryce towarzyskiej. Wśród wychowanek pensji krążyły zabawne żarty na ten temat. Yvette jednak się nie śmiała. Powiedziała tylko:

— Możesz być pewna, że ona zmusi mnie do spełnienia woli wuja Maksyma.

— Lepiej już zejdź do niej i dowiedz się, co ma ci do powiedzenia — poradziła jej Kelda — ale w pierw umyj twarz.

— Niech mnie taką zobaczy. Spróbuję ją przekonać, żeby napisała do mojej rodziny we Francji i zaprotestowała przeciwko wysyłaniu mnie do tej zapadłej dziury. Chociaż wątpię, czy się zgodzi...

— Tak, sądzę, że to mało prawdopodobne — przytaknęła Kelda. — Może on czuje się samotny?

— Wuj Maksym?! Samotny? Według kuzyna Jacquesa, choć taki z niego samotnik, ma stałą kochankę.

Kelda wyglądała na wstrząśniętą.

— Nie do wiary, że kuzyn powiedział ci coś takiego!

— Nie mnie — uściśliła Yvette — ale odwiedził wuja Maksyma w drodze do Kapsztadu i potem opowiadał o tym bratu, nie wiedząc, że ja słyszę. Kiedy był u niego, zauważył

piękną kobietę. „Wyobraź sobie — mówił — podejrzewam, że to metisse”. — Yvette zmarszczyła brwi. — Pytałam ciotkę Jeanne-Marie, co znaczy „metisse”, ale nie chciała mi wyjaśnić.

Kelda wiedziała, że tym słowem określa się dzieci z mieszanych związków białych pracowników przedsiębiorstw kolonialnych z miejscowymi kobietami, ale głośno tego nie powiedziała. Rzekła natomiast:

— Poszukam ci tego w słowniku.

— Już szukałam — powiedziała Yvette — ale nie znalazłam, może nie wiem, jak to się pisze.

— Musisz się pospieszyć — ponagliła Kelda — wiesz, jak złości się przełożona, gdy musi na kogoś czekać.

— A co mnie to obchodzi, przecież opuszczam już szkołę — odparła Yvette.

Kelda uczesała ją i dała świeżą chusteczkę.

— Upiorę je — powiedziała zabierając dwie mokre od łez. — Czy mogę ci pomóc w czymś jeszcze?

— Nie. Chyba, że znasz czarodziejskie zaklęcie, które wyprawi wuja Maksyma na tamten świat.

Przeszła przez pokój i zatrzymała się przy drzwiach.

— A wiesz? To naprawdę świetny pomysł! Myślę, że w Afryce Zachodniej uprawiają czary. Jak tylko tam się znajdę, spróbuję znaleźć jakiegoś czarownika i namówię go, żeby zgładził wuja Maksyma.

Keldzie wyrwał się okrzyk przestrawu.

— Nie wolno tak mówić. Wiem, że nic takiego nie zrobisz!

— Nie bądź taka pewna! — rzuciła gwałtownie Yvette, wypadając na korytarz.

Kelda westchnęła i bezmyślnie zaczęła sprzątać pokój. Żałowała Yvette, ale jednocześnie żałowała, że sama nie ma żadnych szans na podróż do Senegalu ani w ogóle na jakąkolwiek podróż. Nie tak, jak niegdyś z ojcem... Przekonała się teraz, że najtrudniejsze do zniesienia jest poczucie, że przebywa się w zamknięciu. Przedtem w murach sierocińca, teraz — zakładu naukowego.

Za życia rodziców nigdzie nie zagrzewali długo miejsca. Nawet jeżeli Filip Lawrence nie prowadził ważnej ekspedycji, odwiedzał uniwersytety Anglii, gdzie jeździł z wykładami. Kelda pamiętała, że byli dwa razy w Edynburgu. Ich podróżom daleko było do luksusu, ale takie życie w drodze dostarczało przyjemnego dreszczyku emocji. Szczególnie ekscytujące były wyprawy egzotyczne: jazda na wielbłądzie czy upartym mule, rejsy łodzią o ogromnym żaglu w górę jakiejś rzeki do miejsc, dokąd nie sposób było dotrzeć inną drogą.

Ach, tatusiu, brak mi ciebie — westchnęła Kelda. Te osiem lat od jego śmierci w tej chwili wydawały się sennym koszmarem i prawie uwierzyła, że kiedyś może się z niego obudzić.

Ale spojrzenie w przeszłość przypomniało jej, że w przeciwieństwie do Yvette, która nie skończyła jeszcze osiemnastu lat i dopiero wchodziła w dorosłe życie, ona sama skończy w lipcu dwadzieścia jeden. I nie ma co się spodziewać jakiejś zmiany na lepsze.

Często zastanawiała się, czy gdyby odeszła ze szkoły, znalazłaby inną, bardziej odpowiednią pracę. Szanse były jednak niewielkie, a ona czuła się w pewien sposób związana z panią Gładwin, dzięki której mogła obcować z dziewczętami z kulturalnych domów. Nie traktowały jej oczywiście jak kogoś im równego. Zwłaszcza pani Gładwin nie

pozwalala jej zapomniec o sierocym losie i nieustannie mawiala, ze jest niczym wiecej jak „ta z przytulku”.

Z poczatku Kelda nie mogla sie z tym pogodzic i przypominala, ze jej ojciec byl dzentelmenem, a matka dama, choc moze nie byli zbyt zamożni. Potem przekonala sie, ze sprzeciw czyni jej sytuacje jeszcze gorsza. Pani Gladwin z upodobaniem ponizala ja, poniewaz — w odróżnieniu od sluzacych pracujacych na etatach — nie mogla wymowic i odejsc ani odgryzc sie jej jak nauczycielki. Nauczyla sie wiec nie okazywac swoich uczuc i probowala nie sluchac, kiedy przełożona szukala dziury w calym, oczekujac bezgranicznej wdziecznosci za dach nad glowa i strawe.

Keldzie placono marnie, dostawala ledwie cwiertc tego co inne sluzace, ale nic na to nie mogla poradzic. Na dodatek z wyplatami tych mizernych zarobkow zalegano. Czula odrazę do upominania sie o to, co jej sie slusnie nalezalo, bo kazda proba nieodmiennie konczyla sie wykladem na temat naleznej wdziecznosci. Lepiej bylo wiec po prostu nie wspominać o niczym pracodawczyni.

Teraz przeciela pokoj, aby zamknac drzwi do garderoby Yvette, i zerknela na wiszace wewnatrz suknie.

Wiele z nich Yvette miala na sobie ledwo dwa lub trzy razy. Kelda przypomniała sobie, jak ladnie wygladala zawsze jej matka, pomimo ze nie mogla pozwolic sobie na drogie rzeczy.

— Niewazne, ile wydasz na ubranie — mawiala matka — to nie kwestia pieniedzy, lecz dobrego smaku i wyczucia, w czym komu dobrze.

Gdybym tylko miala okazje — pomyslala Kelda — tez chyba potrafilabym wykazac sie dobrym gustem.

Wystarczylo spojrzec w lustro, zeby sie przekonac, iz w szarej sukieneczynie, uszytej z najpodlejszej bawelny, bylo jej nie do twarzy. Wygladala na nedzarkę, ktora rzeczywiscie byla.

Byl to, rzecz jasna, wybor pani Gladwin, ktora z uporem wybierala jej wciaz taka sama szara odziez, jaka Kelda nosila w sierocińcu, i nie zgadzala sie na cos w jasnieszych, weselszych barwach.

— Skoro uwaza pani, ze potrzebuje nowej sukienki — poprosila Kelda rok temu — to moze moglaby byc niebieska lub zielona?

— To kolory nieodpowiednie dla twojej pozycji — ostro uciela pani Gladwin — a co wiecej, widać na nich brud.

— Piore swoje sukienki co tydzien — szybko odparla Kelda.

— Moim zdaniem za czesto — pani Gladwin upierala sie przy swoim. — Wyrazam zgode tylko na taki stroj, jaki ci wybieram, i nie ma dalszej dyskusji.

Odprawila ja. Kelda wychodzac z gabinetu uswiadomila sobie, ze oczekiwac, by pani Gladwin pozwolila jej wygladac atrakcyjniej, jest sprawa beznadziejna.

Kiedy teraz zamykala drzwi garderoby, myslala, co tez by sobie kupila, gdyby miala za co. Z pewnoscia w bledkicie i jasnej zieleni bylyby jej do twarzy, podobnie jak matce. Miala takie same zlotoblond wlosy, te same duze szaroniebieskie oczy

o odcieniu porannej mgly, a jej cera byla przezroczyście jasna, chociaz teraz wygladala zbyt bladło i mizernie.

Rzucila okiem na swoje odbicie w lustrze i odwrócila sie. Po co udawac? Będzie wiecznie chodzic w szarosciach, a nadchodzace lata beda rowniez wypełnione szarzyzna. Yvette nawet nie wie, jakim szczesciem bylyby dla niej ucieczka do Senegalu lub dokadkolwiek na swiecie!

Niezliczone obowiązki wypełniły Keldzie czas aż do pory kolacji. Zgodnie z życzeniem pani Gladwin musiała obsługiwać nauczycielkom, które jadały kolację w swoich pokojach. W porze obiadowej musiały doglądać wychowanek w ogólnej sali, więc wymogły sobie prawo spożywania wieczornego posiłku u siebie. Tam mogły urozmaicić sobie szkolny wikt dokupionymi lub przysłanymi przez rodziny smakołykami. Z początku pani Gladwin opierała się takiej innowacji, ale kiedy zabrakło jej argumentów, zaspokoila swoją dumę, odmawiając przynajmniej przydzielenia służących, które by obsługiwały paniom – pod pozorem, że służące wieczorem są zbyt zajęte. Keldzie więc przypadło w udziale przynosić kolację i zmywać po niej. Nie miała zresztą nic przeciwko temu, bo była to okazja do urozmaicenia monotonnego jadłospisu szkolnej kuchni smacznymi kąskami, które pozostawiała jej nauczycielki.

Dzisiejszego wieczoru w pokoju nauczycielskim trafiła na ożywioną rozmowę.

– Powiedziała jej – oświadczyła panna Dawson, jedna ze starszych wychowawczyń: – „Nie mam zamiaru, proszę pani, spędzać wakacji na podróżach w jakieś zapadłe kąty świata. Nie znoszę, nigdy nie znosiłam i nie mam zamiaru znosić podróży morskich”.

Kładąc ciężką tacę na stoliku w kącie, Kelda usłyszała wybuch śmiechu.

– Co ona na to?

– Odprawiła mnie po prostu i posłała po pannę Jenkins.

– Tyś się zgodziła? – spytał ktoś. – Powiedz no, Jenky, zamieniamy się w słuch.

– Jasne, że nie – odrzekła panna Jenkins, która była instruktorką wychowania fizycznego.

– Mam w planie wakacje z narzeczonym u niego w domu i nie zamieniałabym tego nawet na podróż do raju i z powrotem!

Znów wybuch śmiechu. Kelda tymczasem nalewała zupę na talerze i roznosiła ją siedzącym przy stole.

– Z kim próbowała potem? – zainteresował się ktoś.

– Myślę, że przeleciała przez prawie wszystkie – stwierdziła panna Dawson. – Ashton mówiła mi dziś, zanim wyszła, że się nie zgodziła, i myślę, że panna Hart także nie.

– Przełożona tak bardzo chce się przypodobać temu arystokracie – powiedziała panna Jenkins – że dziw, iż nie pojedzie sama. Mogłaby też wysłać Keldę.

Kelda drgnęła na dźwięk swojego imienia. Wszystkie nauczycielki znów się roześmiały.

– Prawdę powiedziawszy, właśnie zaproponowałam jej to – kontynuowała panna Jenkins.

– Nie może być! – wykrzyknęła panna Dawson – chyba chciałaś z niej zakpić. Wiecie wszystkie, jak traktuje Keldę.

– Wściekła się. Po to jej to powiedziałam – odrzekła panna Jenkins ze śmiechem. – Wie dobrze, że wszystkie zdajemy sobie sprawę, iż Kelda jest tu jedyną osobą, którą może traktować po wielkopańsku... jakby sama była udzielną księżną. Żadna z nas by tego nie ścierpiała. Naprawdę, Keldo – zwróciła się do dziewczyny – często zastanawiałam się, dlaczego nie odejdziesz.

Kelda, która niosła ostatni talerz zupy do stołu, uśmiechnęła się.

– Odpowiedź jest prosta: nie mam dokąd iść.

– I pewnie nie masz pieniędzy – dodała panna Jenkins.

– Zalega mi z wypłatą za sześć miesięcy – uzupełniła Kelda – a nawet gdybym ją dostała, starczyłoby mi to pewnie na podróż nie dalszą niż do Piccadilly Circus.

Roześmiały się wszystkie, jakby było tu z czego się śmiać.

— To woła o pomstę do nieba — powiedziała panna Jenkins — ale nie martw się, może pewnego dnia bogaty wujek, o którym zapomniałaś, pojawi się i zabierze cię stąd do Timbuktu. Nie znamy swojego losu!

— Nadzieję można mieć zawsze — odrzekła Kelda.

Wzięła tacę i wyszła z pokoju. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, usłyszała głos panny Dawson:

— To wstyd, jak przełożona traktuje tę miłą dziewczynę.

— Zgadzą się — dodała panna Jenkins — ale nic na to nie poradzimy i sądzę, że i tak jako „ta z przytułku” miała szczęście, że tu trafiła.

Kelda nie czekała, aż usłyszy więcej. Pospieszyła na dół do kuchni i wydawało się, że jej kroki odbijają echem słowa „ta z przytułku”, „ta z przytułku!”. Czuła, że przyklepiły się do niej jak etykieta, i że nigdy nie zostanie nikim innym, choćby nie wiem jak mocno się starała. „Tej z przytułku” każdy może chodzić po głowie i nie ma dla niej nadziei na przyszłość!

Zakończywszy zmywanie po kolacji Kelda zrobiła filiżankę kakao i zaniósła ją na górę do Yvette. To było niewątpliwie naruszenie regulaminu, ale pomyślała sobie, że pomoże małej Francuzce zasnąć. Była pewna, że w poczuciu krzywdy Yvette będzie się przewracać z boku na bok przez całą noc.

Otworzyła drzwi. Yvette, już rozebrana, siedziała przed lustrem z posępną miną.

— Przyniosłam ci kakao.

— To miło z twojej strony. Wcale nie mogłam jeść kolacji, taka jestem nieszczęśliwa.

— Jesteś głodna? Zejść i przynieść ci kanapkę?

— Nie, nie chce mi się jeść, ale z przyjemnością wypiję kakao. Osłodziłaś dobrze?

— Trzy łyżeczki — odpowiedziała Kelda. — „Gorące i słodkie” — oto co matka zawsze zalecała wszystkim w ciężkich chwilach.

— Taką właśnie przeżywam.

— Co powiedziała przełożona?

— To co było do przewidzenia: muszę jechać i zamieszkać u wuja Maksyma. Polecił jej przysłać mnie jak paczkę, w eskorcie jednej z nauczycielek, która ma dopilnować, żebym dotarła bezpiecznie na miejsce.

— Wszystkie nauczycielki odmówiły.

— Wiem. Przełożona wezwała mnie do gabinetu po modlitwie i spytała: „Czy masz kogoś w Anglii, kto może cię odwieźć do Dakaru?” Odpowiedziałam: „Nie, proszę pani. A nawet gdybym kogoś miała, to nie zechciałby tam jechać. Nikt wuja nie znosi, podobnie jak ja”.

Kelda zaśmiała się z cicha.

— Na pewno przełożona była wstrząśnięta twoją odpowiedzią.

— Była zbulwersowana! — powiedziała Yvette. — Spojrzała na swój długi nos i powiedziała: „Nie wolno mówić w ten sposób o swoim wuju, Yvette. Jestem pewna, że robi to w twoim najlepiej pojętym interesie”. „Mój najlepiej pojęty interes — odparłam — to zostać we Francji z rodziną, którą kocham i która mnie kocha. Nie życzę sobie jechać do Senegalu i mam wielką ochotę zwiać!”

Śmiech Keldy rozbrzmiał czystym zadowoleniem.

— Ale śmiała jesteś! Ze też odważyłaś się tak jej nagadać.

Yvette wzruszyła ramionami.

— Nie może mi teraz zrobić nic gorszego niż wuj Maksym.

— Co ona na to?

— Zrobiła mi dłuższy wykład na temat własności i tego, jaką krzywdę mogę zrobić sobie oraz reputacji szkoły, wyrażając się w sposób zuchwały i niegodny damy.

Mówiąc ostatnie zdanie, Yvette umiejętnie udała intonację pani Gladwin i roześmiały się znów.

— A co potem? — spytała Kelda.

— Gadała, aż dostała zadyszki. A ja na to: „Nie dziwię się, że żadna z wychowawczyń nie chce odwieźć mnie do Senegalu. Ja z pewnością nie zgodzę się zostać tam żywcem pogrzebana. Jeżeli nie może pani znaleźć mi nikogo do towarzystwa na tę podróż, to może napisze pani wujowi, że najlepiej będzie zostawić mnie tutaj. Albo proszę pozwolić Keldzie jechać ze mną. Ona przynajmniej jest córką podróżnika i zgodzi się na wyjazd do najczarniejszej Afryki”.

Kelda wstrzymała oddech.

— To samo zaproponowała panna Jenkins. Co odpowiedziała przełożona?

— Nie czekałam na jej odpowiedź — odparła Yvette. — Wyszłam z pokoju, kiedy ona wciąż jeszcze usiłowała złapać powietrza, jak wyjęta z wody złota rybka.

— To ją musiało rozjuszyć! — rzekła Kelda. Coś w tonie jej głosu zmusiło Yvette do szybkiej reakcji:

— Ach, Keldo, mam nadzieję, że jej złość nie skrupi się na tobie.

— Ja także — rzekła Kelda.

Z lękiem myślała, że skoro dwie osoby zrobiły taką propozycję, to z pewnością Potwora ogarnęła taka furia, że wymyśli dla niej jakąś wyrafinowaną karę. Żeby zmienić temat na mniej denerwujący, spytała:

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Na dwa dni przed zakończeniem semestru. Na pewno nie puściłaby mnie przed końcem, gdyby wuj Maksym nie nalegał na rejs konkretnym statkiem, który zawija do Dakaru po drodze na Przylądek Dobrej Nadziei.

— Jakież to podniecające! — szepnęła Kelda.

— Wiesz, co czuję w związku z tą sprawą— w głosie Yvette nie było nadziei. — Naprawdę chciałabym, żeby udało nam się jechać razem. Mogłabym przynajmniej rozmawiać z jakąś istotą ludzką. Gdyby stara panna Dawson przyjęła propozycję przełożonej, umarłabym. Wiesz, jak ona zawsze przynudza.

— Bardzo chciałabym z tobą pojechać, ale sama wiesz, że to tak, jakby prosić o gwiazdkę z nieba.

— Chyba tak — powiedziała Yvette z rozpaczą— ale sama mówiłaś, że żadna nauczycielka nie zgodziła się jechać.

— Tak mówiły przy kolacji. Odmówiła również panna Ashton, której dziś wieczór tam nie było.

— Kogo więc Potwór ze mną wyśle? — spytała Yvette.

— Nie mam pojęcia. Może ma kogoś znajomego, kto zechce przejechać się do Afryki. A może sama się wybierze!

— Wtedy z całą pewnością wyskoczę za burtę! — zapewniła Yvette bezkompromisowo. — Ani myślę podróżować ze starą Gladwin i już!

Nie skończyła mówić, gdy drzwi się otwarły i ku osłupieniu dziewcząt do pokoju wkroczyła pani Gladwin we własnej osobie.

Nie leżało w jej zwyczajach opuszczanie swoich pieleszy po kolacji i z rzadka odwiedzała sypialnie pańienek, nie licząc inspekcji w poniedziałkowe poranki. Zaglądała wtedy w każdy kąt szukając najmniejszych niedociągnięć. Przed każdą taką wizytą Kelda

z własnej inicjatywy utykała, ukrywając przed jej okiem, wszystkie pozostawione rzeczy panienek, które mogły wywołać jej dezaprobatę.

Zakazane były owoce, słodycze i jedzenie, a wszelkie przedmioty ozdobne i jakiegokolwiek przejawy zbytku narażone na konfiskatę.

Wejście pani Gladwin było tak niespodziewane i jakoś niezwykle, że przez kilka długich sekund Yvette zapomniała się podnieść z krzesła.

Jednakże pani Gladwin wpatrywała się tylko w Keldę.

— Podejrzywałam, że tutaj cię mogę znaleźć — powiedziała. — Mówiłam ci już, że nie życzę sobie, abyś plotkowała w pokojach panienek. Jest to niewłaściwe i nie należy do zakresu twoich obowiązków. Jeżeli nie masz nic do roboty, to zaraz ci coś znajdę.

— Ponieważ mademoiselle była dziś wytrącona z równowagi, przyniosłam jej coś ciepłego do picia, wiedząc, że to ją pomoże uleczyć.

— Jeżeli Yvette potrzebuje lekarstwa, pošlę po lekarza — powiedziała odruchowo pani Gladwin, a potem popatrzyła ostro na Yvette. — Prawdopodobnie znów płakałaś i robiłaś niepotrzebny szum wokół związanych z twoją przyszłością planów wuja.

Tego już było zbyt wiele dla Yvette i w oczach jej znów zabłyśły łzy. Pani Gladwin perorowała dalej:

— Musisz nauczyć się panowania nad sobą. Ciągłe ci powtarzam, opanowanie idzie w parze z kulturą i odpowiednim wykształceniem.

Yvette nie odpowiedziała, szukając chusteczki za paskiem sukienki, a dwie łzy spływały jej po policzkach.

— Zastanawiałam się nad kłopotami z twoim dotarciem do Dakaru — powiedziała pani Gladwin. — Dlatego przychodzę zapytać jeszcze raz, czy masz kogoś w Anglii, kto byłby w stanie towarzyszyć ci w tej podróży.

— Powiedziałam już pani, nie znam nikogo takiego — odparła Yvette.

— Nie ma jakiejś twojej dawnej guwernantki, która mogłaby, za wynagrodzeniem, skromnym oczywiście, posłużyć ci za opiekunkę?

— Guwernantka, którą miałam przed przyjściem tutaj — odpowiedziała Yvette — uczy teraz dzieci księcia de Beauclaire, więc jestem całkiem pewna, że nie pojedzie ze mną, nawet gdyby miała na to ochotę. W co zresztą bardzo wątpię.

Pani Gladwin puściła mimo uszu ostatnie słowa, które w sposób oczywisty były nieuprzejme, i namyślała się, stojąc pośrodku pokoiku.

Kelda miała ochotę wyslizgnąć się z pokoju za jej plecami, ale przeczuwała, że to ściągnęłoby jeszcze większe gromy na jej głowę. Stała więc bez ruchu, licząc na to, że wtopi się w tło i nie zwróci na siebie nadmiernej uwagi.

— No, tak — rzekła w końcu pani Gladwin, jakby właśnie podjęła decyzję. — Jeżeli tak się sprawy mają, jedyne, co mogę zrobić, to wysłać z tobą Keldę. — Przerwała na chwilę, nie zwracając uwagi na zdumione miny dziewcząt, i ciągnęła dalej: — Jasne, że jako „ta z przytułku” Kelda jest tylko służącą. Ale może być twoją pokojówką i jednocześnie baczyć na ciebie.

Żadna z dziewcząt nie zareagowała, a ona mówiła jakby do siebie:

— Oczywiście niezwłocznie napiszę do armatora wyjaśniając twoją sytuację i jestem pewna, że nazwisko twojego wuja zrobi odpowiednie wrażenie, więc otoczą cię wszelką możliwą troską. — Po chwili ciągnęła dalej: — Będę musiała znaleźć wśród pasażerów jakieś szacowne małżeństwo angielskie. Liczę na to, że towarzystwo okrętowe, jak mają to w zwyczaju w przypadku kobiet podróżujących do Indii, zaproponuje jakiejś damie

spośród pasażerów, żeby miała na ciebie oko i pełniła rolę twojej oficjalnej opiekunki aż do Dakaru. Yvette odzyskała głos:

— Kelda mi wystarczy.

— Mam nadzieję, aczkolwiek nie jestem zbyt wysokiego mniemania o jej kwalifikacjach. Nie bardzo umie zająć się własnymi sprawami, a cóż dopiero twoimi — odparła pani Gladwin. — Ale jestem pewna, tak, zupełnie pewna, że znajdzie się ktoś, komu będę mogła cię powierzyć, kiedy statek opuści Southampton. Sama odprowadzę cię na pokład, więc twój wuj nie będzie miał powodu do niepokoju o ciebie. — Pani Gladwin przerwała, patrząc na szeroko otwarte oczy i blade oblicze Keldy. — A ty, Keldo — dodała — jeżeli nie wywiązesz się z nałożonego na ciebie obowiązku, jeżeli zawiedziesz moje zaufanie, możesz być pewna, że twoja noga tu więcej nie postanie.

Pani Gladwin nie czekała na odpowiedź, tylko odwróciła się z szelestem jedwabnego szlafroka.

— Idź spać, Yvette — dodała — i odmów modlitwę dziękczynną do Boga, że masz takiego kogoś jak ja, kto opiekuje się tobą i szczerze dba o twoje dobro.

Pani Gladwin opuściła pokój. Przez chwilę ani Yvette, ani Kelda nie zrobiły ruchu, jak zakłute w kamień. Wreszcie Kelda, bez tchu, głosem, który niewiele różnił się od szeptu, powiedziała:

— To... niemożliwe. Nie mogła powiedzieć tego, co słyszałam. Chyba... śnię!

— Możliwe. Chociaż trudno mi w to uwierzyć! — odpowiedziała Yvette. — Ach, Keldo, jedyna rzecz, która może uczynić znośnym mój wyjazd do wuja, to twoje towarzystwo. Powinnam zmówić modlitwę dziękczynną, ale tylko dlatego, że bez ciebie umarłabym z żalości w tej podróży!

ROZDZIAŁ 2

Gdy parowiec wychodził z portu Southampton, kierując się na Kanał La Manche, Kelda uszczypnęła się, chcąc się upewnić, czy nie śni. Ledwie mogła uwierzyć, że zostawiła za sobą żalosną egzystencję w zakładzie i samą Anglię, gdzie przez osiem ostatnich lat była nieszczęśliwa do granic wytrzymałości.

Teraz wszystko się odmieniło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przez co najmniej dwa miesiące będzie wolna od nieubłaganego krytycyzmu pani Gladwin i od jej ciągłych uwag, że jest tylko „tą z przytułku”. Samo to, że przebywała na pokładzie statku, wypełniało ją drżeniem oczekiwania. Inaczej było z Yvette. Dziewczęta dostały dwie najlepsze, łączące się ze sobą kabiny w klasie pierwszej, co wyraźnie świadczyło o bogactwie i pozycji lorda Orsetta. Stewardzi dwoili się i troili, nosząc ich bagaże i dopytując się, czego im jeszcze potrzeba.

Bagaż Keldy wyglądał żałośnie skromnie w porównaniu z nieprzeliczonymi kuframi Yvette, pełnymi sukien, czepków, parasolek od słońca i mnóstwa innych rzeczy, których kupno wymusiła na pani Gladwin w ostatniej chwili.

— Jeżeli mam jechać do jakiejś dziury na krańcu świata — oznajmiła buntowniczo — nie mogę wstydzić się swojego wyglądu, a więc dni dzielące mnie od wyjazdu zamierzam spędzić na zakupach.

Tym razem pani Gladwin nie mogła się sprzeciwić. Ponieważ żadna z wychowawczyń nie miała wolnego czasu, w wyprawach po zakupy Yvette towarzyszyła Kelda. Wynajęto w tym celu kryty powóz, bo — rzecz jasna — panience nie wypadało korzystać z komunikacji publicznej.

To wszystko było tak ekscytujące, że Kelda modliła się co wieczór, żeby nic nie przeszkodziło jej w podróży do Senegalu, choć widziała przygnębienie Yvette, które narastało w miarę zbliżania się terminu wyjazdu.

— Zostanę pogrzebana żywcem — powtarzała, a Kelda nie była w stanie jej pocieszyć. Yvette napisała do wszystkich krewnych w Paryżu, błagając o interwencję w swojej sprawie, ale odpowiedź zawsze brzmiała: „Nic się nie da zrobić, wuj jest twoim prawnym kuratorem”. Kelda, która widziała te listy, miała wrażenie, że wszyscy byli pod przemożnym wrażeniem jego majątku i wysokiej pozycji społecznej.

— Przede wszystkim, dlaczego wyjechał do Senegalu? — zacięła się.

— Nie mam pojęcia, może dlatego, żeby się wydać innym niż reszta świata — Yvette wzruszyła ramionami.

— Czy był tam przed ślubem z twoją ciotką?

— Nie sądzę. Zawsze słyszałam, że ciocia Ginette była śliczna i uwielbiała zabawy i przyjęcia.

— To dziwne, że wywiózł ją do Afryki.

— Wszystko, co dotyczy wuja Maksyma, jest dziwne — odrzekła Yvette — i zupełnie nie rozumiem, jak mama mogła go uczynić moim kuratorem.

— Pewnie sądziła, że stać go będzie na dobrą opiekę nad tobą — odparła Kelda.

— Wciąż mówisz o jego pieniądzach — odparowała Yvette — zapominasz, że i ja odziedziczyłam majątek.

— Ale jesteś sierotą — dodała Kelda cicho.

Yvette pozostawiła to bez odpowiedzi, bo nienawidziła rozmów o wuju. Kelda domyśliła się, że narasta w niej lęk przed spotkaniem z nim. Cisnęło jej się na usta wiele pytań, ale na widok niepokoju Yvette postanowiła czekać, aż naprawdę rozpocznie się podróż do jej tajemniczego krewniaka, mieszkającego w nie mniej tajemniczym zakątku Afryki.

Kelda przestudiowała wszystkie przewodniki po Afryce, jakie były w szkole, żeby dowiedzieć się czegoś o Senegalu. Nie znalazła wiele, bo Senegal jest oficjalnie kolonią francuską od 1848 roku, a większość książek historycznych zajmowała się głównie Imperium Brytyjskim. Natomiast podręczniki geografii ograniczały się do zamieszczenia mapy i wzmianki, że jest to terytorium zarządzane przez Francję. Odkryła jednak, że przed czterema laty wydano dekret tworzący Rząd Francuskiej Afryki Zachodniej z gubernatorem na czele. Dowiedziała się, że Senegal posiada instytucje, będące odpowiednikami francuskich, ale nie bardzo wiedziała, co to znaczy. Nie było nikogo, kto mógłby wyjaśnić jej te sprawy, zanim przybędzie do Senegalu, i silniej niż kiedykolwiek odczuwała brak ojcowskiej mądrości i wiedzy o świecie.

Jakże wzruszony byłby tata, wiedząc, że znów wybieram się w podróż — mówiła sobie, i zastanawiała się z niepokojem, jak długo potrwa ta wyprawa. Pani Gladwin postawiła sprawę jasno: ma wracać, jak tylko Yvette znajdzie się pod opiekuńczymi skrzydłami wuja.

— Wbij sobie do głowy, Keldo — prawiała swoim skrzekliwym głosem — że jedziesz jako towarzyszka podróży mademoiselle tylko dlatego, że nie udało mi się znaleźć nikogo innego. Nie wolno ci w żaden sposób nadużywać gościny u jego lordowskiej mości i masz wracać przy pierwszej nadarzącej się sposobności. — Przerwała i dodała niemal mściwie: — Spodziewam się twojego powrotu nie później niż w styczniu.

Kelda przytaknęła, nie mając innego wyjścia. Kiedy jednak pani Gladwin zeszła z pokładu statku, zdała sobie sprawę, że uczyni wszystko, aby jej już nigdy nie oglądać na

oczy, i że znajdzie jakiś sposób, aby zostać w Dakarze albo w jakimkolwiek innym zakątku świata, gdzie będzie mogła inaczej niż dotąd zarabiać na życie.

Może tam znajdzie szkołę, w której mogłabym uczyć. W ostateczności mogę zostać sprzedawczynią — pomyślała i zaraz roześmiała się, przypomniawszy sobie wschodnie bazyry, które odwiedzała z rodzicami. Pomysł pracy tam był niedorzeczny dla białej kobiety.

Tymczasem jednak znajdowała się na statku płynącym z jednego portu do drugiego, a więc na „ziemi niczyjej”, gdzie nie obowiązywały jej żadne ograniczenia, z wyjątkiem tych, które dyktowało jej własne poczucie dobrego wychowania.

Pani Gładwin oczywiście zwróciła się do przedstawiciela linii żeglugowej z prośbą o wyznaczenie Yvette opiekunów. Zaproponował on starsze małżeństwo, pastora metodystów z żoną, wracających do Afryki Południowej po odwiedzinach u dzieci w Anglii.

Byli ubodzy, na ich bilety złożyli się wierni z parafii, a ze względu na podeszły wiek wykupili im miejsca w pierwszej klasie. Byli zakłopotani, kiedy pani Gładwin wpadła na nich z impetem parowca, i potulnie przystali na jej propozycję. Kelda zauważyła jednak, że nadmierna skromność nie pozwala im narzucać się czy wtrącać w czyjekolwiek sprawę, zwłaszcza że w Yvette od razu można było rozpoznać arystokratkę. Nędznie odzianą Keldę brali za służącą i rozmawiali z nią swobodniej, ale po dwóch dniach na morzu oboje poczuli się gorzej i okazało się, że to Kelda raczej musi się nimi opiekować. Pierwszego wieczoru na pokładzie Yvette zaczęła interesować się współpasażerami.

- Raczej nudny komplet — oznajmiła Keldzie
- z wyjątkiem jednego młodego człowieka, który wygląda interesująco.
- Który to? — zapytała Kelda.

Ogłoszono, że pierwszego wieczoru pasażerowie mogą siadać, gdzie mają ochotę, a stałe miejsca przy stole kapitańskim i oficerskich zostaną im przydzielone nazajutrz. Kelda miała dość doświadczenia podróżniczego, by wiedzieć, że w ten sposób kapitan mógł się ustrzec przed przeoczeniem jakiegoś ważnego pasażera, dla którego mogłoby zabraknąć miejsca przy kapitańskim stole. Kiedy weszły do jadalni, uznała, że najrozsądniej będzie poprosić stewarda o miejsce przy stoliku dwuosobowym.

- Dlaczego poprosiłaś o ten stół? — dopytywała się Yvette, kiedy zajęły miejsca.
- W ten sposób możemy się porozglądać — wyjaśniła Kelda — i zorientować, kogo powinniśmy unikać.

Yvette roześmiała się.

— Nie zastanawiałam się nad tym, ale już teraz widzę sporo osób, które by do tej kategorii można zakwalifikować.

— Mój ojciec zwykł naśmiewać się z okrętowych nudziarzy, opowiadających od Portsmouth do Port Saidu stale te same anegdoty, a mama umykała gdzie pieprz rośnie od plotkarek, które nie zostawiały suchej nitki na nikim, kto był choć trochę przystojniejszy.

Yvette znów się zaśmiała:

- No, te będą sobie na mnie używać!
- W takim razie miej się na baczności — poprosiła Kelda. — Nie zapominaj, że jestem za ciebie odpowiedzialna, i jeżeli będziesz zachowywać się nieodpowiednio, na mnie spadnie cała wina.

— A kto będzie wiedział, jak ja się zachowuję? — spytała Yvette. — Poza tym, być może, jeżeli wyrobię sobie fatalną opinię po drodze do Dakaru, wuj Maksym odeśle mnie do Paryża w niełasce.

— Na to bym nie liczyła — odparła Kelda. — Ale proszę, kochana Yvette, pamiętaj, że to na mnie skrupi się jego wściekłość. Odeśle mnie natychmiast, i to nie do Paryża, lecz do pani Gładwin.

Yvette skrzywiła się.

— Musimy temu zapobiec — powiedziała.

— Jestem zdecydowana zatrzymać cię przy sobie, nawet wbrew woli wuja Maksyma.

Ta obietnica nie ucieszyła jednak Keldy tak, jak powinna. Wiele się nasłuchiwała o lordzie Orsetcie i była pewna, że on postawi zawsze na swoim i zmusi każdego do wypełnienia swojej woli. Jeżeli zechce ją odesłać, będzie musiała wracać, niezależnie od tego, co powie Yvette. Nie przestawała się modlić, aby stało się coś, co ocali ją od powrotu do Anglii.

Już pierwszego wieczoru Yvette zwróciła uwagę na przystojnego młodego mężczyznę. Kelda zauważyła, że i on zerka często na Yvette.

Gdy nazajutrz przy lunchu okazało się, że owemu dżentelmenowi wyznaczono przy kapitańskim stole miejsce tuż obok Yvette, Kelda podejrzewała, że to raczej spisek niż zwykły zbieg okoliczności. Dowiedziały się, że młody człowiek nazywa się Remy Mendes, ale przy lunchu rozmawiano jedynie zdawkowo o pogodzie, prędkości statku oraz ubolewano, że trudno będzie zaaranżować jakieś gry sportowe przy tak skromnej liczbie młodych ludzi.

— Będę musiał podtrzymywać kondycję, uprawiając jogging po pokładzie — powiedział monsieur Mendes — chociaż wolałbym pograć w badmintona lub ringo.

— Umieć grać w badmintona, chociaż, niestety, nie najlepiej — wtrąciła Yvette.

— No, to koniecznie musimy zagrać — zaproponował natychmiast monsieur Mendes, czego Yvette zresztą spodziewała się po nim.

Na pokładzie było zbyt chłodno na spacer, więc zaraz po lunchu Yvette i Kelda przeszły do salonu. Kelda nie zdziwiła się, że zaledwie zdążyły zamówić kawę i usadowić się w kąciку — monsieur Mendes już pytał, czy może się dosiąść.

Yvette przedstawiła Keldę, a on spojrzawszy na jej suknie domyślił się, iż to jedynie płatna opiekunka. Skłonił się więc oficjalnie i skupił całą uwagę na Yvette.

— Teraz możemy porozmawiać — powiedział w sposób nie pozostawiający wątpliwości, że jego słowa przeznaczone są tylko dla jej uszu. Ciemne oczy wpatrzone były wyłącznie w jej źrenice, a gościł w nich wyraz podziwu, niewątpliwie świadczący o zainteresowaniu piękną dziewczyną.

Ciekawe, co powinnam zrobić w tej sytuacji, pomyślała Kelda, całkowicie bezradna.

— Czy udaje się pani do Kapsztadu? — zapytał. — To podobno miejsce bardzo ciekawe, chociaż nigdy tam nie byłem.

— Nie, tylko do Dakaru — brzmiała odpowiedź Yvette.

— Do Dakaru? — wyraził zdziwienie monsieur Mendes, a gdy Yvette nie odpowiedziała, dodał: — To nie do wiary! Naprawdę powiedziała pani „do Dakaru”?

— Muszę tam jechać i zamieszkać u mojego wuja — wyjaśniła Yvette. — Ale zapewniam pana, wolałabym stokroć płynąć do Kapsztadu.

Tak szybkie zwierzanie się z kłopotów nieznanemu jest raczej nieroztropne ze strony Yvette, pomyślała Kelda, ale monsieur Mendes zawołał:

— A ja się cieszę, że jedzie pani do Dakaru. Ja też tam jadę! Nie mogę uwierzyć, że tak cudowna istota jak pani zaszczyca swoją obecnością tę dziurę.

— Pan mieszka w Dakarze?

— Dzięki Bogu, tylko przejściowo — odpowiedział. — Tak się złożyło, że przez trzy miesiące będę attache przy gubernatorze.

Yvette klasnęła w ręce.

— To wspaniale! Będę pana widywać!

— Z pewnością — rzekł. — Kim jest pani wuj?

— To lord Orsett.

Znów zdziwienie zagościło na twarzy monsieur Mendesa.

— Lord Orsett? Przecież on nigdy nie miewa gości, a już o taką siostrzenicę nigdy bym go nie podejrzewał.

— Proszę mi opowiedzieć o Dakarze — zaproponowała Yvette. — Chyba pan sobie wyobraża, z jaką niechęcią tam jadę, skoro mogłabym być w Paryżu.

— Rozumiem panią — przytaknął. — Ja także tęsknię za Paryżem, ale na szczęście zdążę być tam z powrotem przed wiosną.

— Kasztany będą kwitły na Polach Elizejskich — rozmarzyła się Yvette.

— I kwiaty w Lasku Bulońskim!

— Będą bale i przyjęcia — ciągnęła Yvette w urzeczeniu — a tańczyłabym do białego rana.

— Tam właśnie byłaby pani na miejscu — powiedział monsieur Mendes — więc jak to się stało, że udaje się pani do Dakaru?

— Lord Orsett jest mężem mojej ciotki, a także moim oficjalnym kuratorem.

— Słyszałem kiedyś, że był żonaty z Francuzką — przypomniał sobie — i stąd pewnie znalazł się w Dakarze. Ona natomiast musiała chyba nie znosić Dakaru, podobnie jak pani.

— Co ja mam począć? — spytała Yvette. — Proszę mi powiedzieć, co mam zrobić?

— Jedno mogę pani obiecać. Dołożę wszelkich starań, żeby uprzyjemnić pani pobyt u wuja.

— Ale pan przecież wyjeżdża.

— Nie wcześniej niż w połowie marca, a do tego czasu wiele może się wydarzyć.

Powiedział to w taki sposób, że Yvette, onieśmielona, spuściła powieki, a jej ciemne rzęsy wyraźnie podkreśliły jasność cery.

Jakaż ona śliczna, pomyślała Kelda. Nic dziwnego, że on nie może oderwać od niej oczu. Ale jednocześnie niepokoiło ją, co też powie lord Orsett, gdy przybędą do Dakaru w towarzystwie tego młodzieńca.

Stało się jasne, że oboje młodzi są zauroczeni sobą nawzajem.

— Jaki on czarujący, cudowny, inteligentny — zachwyciła się Yvette, kiedy obie rozbierały się do snu pierwszego wieczoru, a już drugiego powiedziała z rozmarzeniem: — Keldo, myślę, że zakochuję się!

— Proszę cię, Yvette, proszę, uważaj na siebie — błagała Kelda. — To naprawdę nierozsądne pakować się w tę sprawę. Nic nie wiemy o monsieur Mendesie. Twój wuj może go nie zaakceptować.

— Jestem całkowicie pewna, że wuj Maksym akceptuje wyłącznie siebie! — rzuciła chmurnie Yvette. — Ale dowiem się wszystkiego, czego chcesz się dowiedzieć. Monsieur Mendes poprosił mnie o spotkanie na górnym pokładzie jutro z rana. Jeżeli nie będzie

deszczu, usiadziemy gdzieś w cieniu i porozmawiamy na osobności, nie narażeni na spojrzenia tych starych ciotek, które gapily się na nas dziś przy kolacji.

Kelda pomyślała, że starsze panie przy stole kapitańskim miały oczywisty powód do porozumiewawczych spojrzeń, tak pochłonięci sobą byli przy posiłku Yvette i monsieur Mendes. On nawet nie próbował odezwać się do damy siedzącej po jego drugiej ręce, a Yvette, która miała za sąsiadkę Keldę, nie musiała się silić na konwersację z nią. Keldzie nie pozostało nic innego, jak rozmawiać z podstarzałym kupcem, który często odwiedzał Senegal, handlował bowiem orzeszkami arachidowymi, które — jak ją poinformował — stanowiły obecnie jedyny wart uwagi towar eksportowy tego terytorium. Mocno niedosłyszał i choć Kelda miałaby ochotę dowiedzieć się więcej o Senegal, żenowała ją nieco konieczność wykrzykiwania mu do ucha po kilka razy każdego pytania, zanim je zrozumiał.

Ku konsternacji Keldy po obiedzie Yvette i monsieur Mendes nagle znikli. Nie wypadło o nich nikogo pytać, a usilne poszukiwania po świetlicach i salach klubowych nie naprowadziły ją na ślad uciekinierów, więc w końcu dała za wygraną i schroniła się w swojej kabinie. Była pewna, że pani Gladwin nie pochwalałaby tego, ale powiedziała sobie filozoficznie: „Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”. Jednakże, kiedy Yvette wróciła po północy, rzekła z wymówką:

— Mogłabyś chociaż powiedzieć, gdzie się wybierasz.

— Sama nie wiedziałam. Monsieur Mendes porwał mnie do saloniku przeznaczonego do pisania listów, gdzie mało kto zagłada.

— I mnie nie przyszło do głowy tam zajrzeć — powiedziała Kelda.

— A my właśnie przed tobą chcieliśmy się ukryć — figlarnie rzuciła Yvette.

— Wiesz, że nie powinnaś robić takich rzeczy! — upomniała ją Kelda, dość jednak łagodnym tonem. Wiedziała, że Yvette i tak nie posłucha żadnej rady.

— Bawię się świetnie — Yvette siadła na brzegu łóżka Keldy. Wyglądała rozkosznie w koralowo-różowej sukni i tiulowym szalu tego samego koloru otulającym jej białe ramiona.

— Niepokoję się o ciebie.

— Nie ma powodu do niepokoju — odparła Yvette. — Szczerze mówiąc, teraz zaczynam cieszyć się tą podróżą. Nawet myśl o pobycie w Dakarze, przynajmniej przez następne trzy miesiące, już mnie tak nie przygnębia.

— A co będzie, jeżeli wuj nie pozwoli ci widywać się z monsieur Mendesem?

— Wiem, co insynuujesz, Keldo — odparła Yvette — ale dowiedziałam się o nim wszystkiego i zapewniam cię, że to zacny i poważny człowiek.

— No, to przynajmniej tym nie muszę się martwić!

— Jego ojciec jest członkiem Izby Deputowanych, a i Remy zamierza zostać politykiem. Nie pochodzą ze starej rodziny arystokratycznej, tak jak na przykład moje cioteczne babki, ale są ogólnie znani i bogaci.

Yvette przerwała na chwilę i dodała:

— Przynajmniej wuj Maksym nie powie, że to łowca posagów.

Kelda aż usiadła na łóżku.

— Yvette, chyba nie zamierzasz go poślubić?

— Jeszcze mi się nie oświadczył — odparła Yvette — ale wkrótce to zrobi. Mówi, że mnie kocha i że jest pod wrażeniem mojej pozycji. Na pewno mogę mu ułatwić karierę polityczną.

— Więc to dla niego takie ważne?

— Nie najważniejsze, jeżeli mnie naprawdę pokocha. A pokocha na pewno. Zobaczysz, pokocha mnie głęboko!

Kelda uświadomiła sobie bezradnie, że nic nie wie o miłości. Orientowała się, że Yvette ma za sobą szereg wakacyjnych flirtów z młodymi ludźmi w Paryżu, gdyż słuchała jej zwierzeń na ten temat. Wyczuwała jednak, że tym razem to coś poważniejszego. Ale wmawiała w siebie, że to nieprawda. Pokładowe romanse były zwykle tylko przelotnymi przygodami i najpewniej, zanim dobiją do Dakaru, Yvette znudzi się monsieur Mendesem i zacznie rozglądać się za innymi.

Z książki, którą czytała do poduszki, Kelda dowiedziała się, że w Dakarze prawie nie ma białych kobiet, pomyślała więc, że Yvette będzie tam mogła jak w ulęgawkach przebierać w mężczyznach spragnionych widoku kobiety przypominającej im świat, który zostawili za sobą.

— Remy Mendes nabiera teraz doświadczenia w zawodzie — mówiła tymczasem Yvette. — Jego ojciec sądzi, że przyda mu się to bardzo w karierze deputowanego.

— Więc dlatego udaje się do Dakaru?

— Tak, jak już mówił, jako attache gubernatora. Pełnił poprzednio tę funkcję w Algierze.

Kelda chętnie porozmawiałaby z nim o Algierze, gdzie też niegdyś była, ale w obecnej sytuacji nie mogła liczyć na jego zainteresowanie. Zanadto był zajęty Yvette.

— Oczywiście — ciągnęła Yvette — moje paryskie ciotki uzgodniły już, że wyjdę za przedstawiciela jednej z najświetniejszych rodzin francuskich, że dla mnie to świetna partia. Myślały nawet o młodym diuku de Feneon.

— Skoro tak, to nie wolno ci się zanadto zaangażować w znajomość z monsieur Mendesem.

— Jeżeli zamieszkać z wujem Maksymem — głośno myślała Yvette — to nie mam szans na spotkanie ani z diukiem, ani z kimkolwiek innym.

— Nie wierzę, że wuj chce cię zakopać w Dakarze na wieki — sprzeciwiła się Kelda. — Pewnie on także myśli o twojej przyszłości, więc chce się z tobą zobaczyć i omówić wszystko.

Wiedziała, że rodziny francuskie miały zwyczaj aranżować małżeństwa z rozsądku, szczególnie jeżeli panna była tak posażna i dobrze urodzona jak Yvette. Uważała ten obyczaj za prawie barbarzyński, ale nigdy nie mówiła o tym Yvette, nie chcąc jej irytować. Co do siebie, była pewna, że nie ma szans na zamążpójście, nawet z rozsądku.

Teraz musiała dołożyć starań, aby zapobiec dalszemu angażowaniu się Yvette w romans z młodzieńcem, który nie ma aprobaty jej rodziny. Nie miała pojęcia, jak to zrobić. Przez następne dwa dni siedziała samotnie w salonie lub na pokładzie, chwilami poszukując towarzystwa pastora i jego żony. Nikt inny nie uważał jej za osobę na tyle ważną, aby zadać sobie trud i przynajmniej się jej przedstawić. Wiedziała, że to z powodu jej ubioru. Miała ze sobą tylko szare bawełniane codzienne sukienki, które sama uszyła i nosiła w zakładzie. A ze względu na chłody pani Gładwin łaskawie pożyczyła jej czarną, grubą, wełnianą pelerynę, która okrywała Keldę od stóp do głów. Głowę z braku czegoś lepszego okrywała czarnym słomkowym czepeczkiem, wzorowanym na tych noszonych w sierocińcu. Związany pod brodą czarną tanią wstążką był wyjątkowo brzydki i zakrywał całą twarz. Czarne rękawiczki i „rozsądne” botki z gumką w cholewce dopełniały całości. Jej stan posiadania uzupełniała jedna mała torba, tak sfatygowana, że nawet tragarze i stewardzi patrzyli na nią z pogardą.

Keldzie szkoda było czasu na użalanie się nad sobą, prawdę mówiąc, nawet nie przyszło jej do głowy skarżyć się na cokolwiek. Mogła przecież słuchać szumu morza, rozkoszować się wiatrem, a nieodparte wrażenie, że prują fale w drodze ku słońcu, nie opuszczało jej. Od śmierci rodziców jej serce było jakby skute lodem, a teraz okowy, które cierpliwie znosiła, pękły. Była dość rozsądna, żeby zdawać sobie sprawę, jak istotny wpływ na jej nastrój ma to, że po raz pierwszy od ośmiu lat je, ile chce i co chce, i że nie musi wstawać o piątej rano, jak w sierocińcu i u pani Gładwin. Uważała ten stan rzeczy za niebywały luksus.

— Przytyję — powiedziała do Yvette — jeżeli nie będę nic robić, tylko obżerać się. To jest coś, na co nie mogłam sobie pozwolić od lat.

— A ja nie mogę nic jeść — odrzekła Yvette. — To kolejny dowód na to, że chyba jestem zakochana.

Kiedy statek minął Biskaje i zmierzał do zachodniego wybrzeża Afryki Północnej, Yvette nie mówiła już „chyba”. Blask miłości bił z jej oczu, gdy była w pobliżu Remy'ego Mendesa.

Kelda dała za wygraną i już nie prosiła jej o ostrożność w okazywaniu uczuć. Byłaby to czysta strata czasu. A gdy pewnego razu Yvette wróciła o pierwszej w nocy i weszła do kabiny, Kelda wiedziała już, co zaszło.

— Jestem zaręczona, Keldo! — wykrzyknęła — Remy i ja zamierzamy na Wielkanoc wziąć ślub w Paryżu.

Keldzie zaparło dech w piersiach.

— A co będzie, jeśli lord Orsett nie zezwoli na to małżeństwo?

— Dlaczego miałby mi tego bronić? — spytała Yvette. — Będę żoną przyszłego premiera Francji, a to musi zrobić jakieś wrażenie nawet na wuju Maksymie.

— A jeżeli rozżłości go fakt, że podjęłaś tak istotną decyzję, nie zapytawszy go o zdanie? Może nie zaaprobować monsieur Mendesa.

— Remy twierdzi, że pójdzie w ślady swojego ojca, który ma bardzo wysoką pozycję w świecie polityki. Teraz, kiedy omówiliśmy wiele spraw, okazało się, że jest znacznie bogatszy, niż początkowo myślałam. Będziemy mieli dom w Paryżu i chateau w majątku jego ojca, który jest ogromny! Ach, Keldo, jakżem szczęśliwa!

Mówiła z takim uniesieniem, że ramiona Keldy same wyciągnęły się ku niej.

— Tak się cieszę, kochanie, naprawdę! — zawołała. — Boję się tylko twojego wuja, jak i ty.

— Już nie boję się wuja Maksyma — oznajmiła Yvette. — Remy mówi, że zaopiekuje się mną i będzie ochraniał przez resztę życia. Czegóż mogę chcieć więcej?

— To prawda, czegóż chcieć więcej — zgodziła się Kelda. Ale równocześnie zaniepokoiła się. Coś mówiło jej, że lord Orsett nie znosi, kiedy podejmuje się decyzję bez jego zgody, zwłaszcza taką, która pociągnie za sobą skrócenie pobytu siostrzenicy.

— Jedziemy do Paryża zaraz po Nowym Roku — ciągnęła Yvette — bo mam zamiar przygotować sobie wspaniałą wyprawę ślubną, a na to, jak wiesz, trzeba sporo czasu.

— Jedziemy? — powtórzyła pytająco Kelda.

— Tak, pojedziesz ze mną — odparła Yvette.

— Wiesz, że nie dam sobie rady bez ciebie, a ty pokochasz Paryż tak jak ja.

— Co na to powiedzą twoi bliscy?

— Nie musimy więcej przejmować się moją rodziną — oświadczyła Yvette — ważny jest tylko Remy, a Remy jest ci bardzo wdzięczny za twój takt.

Nazajutrz, po całym poranku spędzonym z Remy, Yvette wpadła jak burza do kabiny Keldy tuż przed lunchem.

— Remy ma pomysł — zawołała — i sędzę, że bardzo rozsądny.

— Cóż to za pomysł? — zapytała Kelda, odkładając książkę.

— Musisz odmienić swój wygląd!

— Zmienić wygląd... — powtórzyła Kelda w osłupieniu.

— Mówiłam Remy'emu, kim jesteś naprawdę — ciągnęła Yvette — i on jest pewny, że słyszał o twoim ojcu. W każdym razie to, że był wykładowcą Towarzystwa Geograficznego, które cieszy się wielką estymą we Francji, zrobiło na nim wrażenie.

Kelda czekała na dalszy ciąg.

— Remy jest wstrząśnięty — kontynuowała Yvette — tym, jak cię traktowała pani Gładwin i jak ci się kazała odziewać. Mówi, że będziemy potrzebowali twojego wsparcia i pomocy, by stawić czoło wujowi Maksymowi, więc musisz wyglądać jak ktoś z pozycją, czyja opinia się liczy.

— Jakże mam to zrobić? — spytała Kelda, nadal nie rozumiejąc, co Yvette próbuje powiedzieć.

— Zdaniem Remy'ego, ludzie pokroju wuja Maksyma oceniają innych po wyglądzie zewnętrznym. Zaproponował coś, o czym powinnam była już wcześniej pomyśleć: a mianowicie, żebym cię ubrała w moje rzeczy, i żebyś wyglądała jak dama, którą w istocie jesteś.

— Ale ja... ja nie mogłabym tego zrobić — powiedziała Kelda bez namysłu.

— A to czemu? — spytała Yvette.

— Ponieważ to twoje stroje... należą do ciebie, a poza tym... co powiedziałyby pani Gładwin?

Yvette roześmiała się.

— Pani Gładwin jest setki mil stąd i nie mam zamiaru przejmować się nią. Zabrałam stopy sukni i Remy ma rację: wuj Maksym musi potraktować cię jak kogoś równego sobie, w przeciwnym razie nie będzie chciał słuchać niczego, co będziesz mu miała do powiedzenia.

— I tak wątpię, żeby zechciał mnie słuchać — bąknęła Kelda.

— Jednak powinien liczyć się z twoim zdaniem, przynajmniej tak uważa Remy. Przecież zostałam wysłana do Dakaru pod twoją opieką.

— Nawet jeśli będę lepiej wyglądała — po chwili zastanowienia dodała Kelda — czy nie sądzisz, że pani Gładwin napisała do niego, kim jestem i jakie jest moje stanowisko w jej szkole?

— Oczywiście, że to zrobiła — powiedziała Yvette z chytrym uśmieszkiem. — Pamiętasz? Na odjeźdny dała mi list. Szkoda, że nigdy nie dotrze do adresata!

— Co masz na myśli?

— Właśnie zamierzam go podrzeć i wyrzucić za burtę.

— Nie możesz tego zrobić! — wykrzyknęła Kelda. — To list osobisty.

— Jestem pewna, że to stek kłamstw — oznajmiła Yvette — ale żadna z nas się tego nie dowie na pewno, bo nie mam zamiaru go czytać, a i tobie na to nie pozwolę. To by cię tylko przygnębiło.

Mówiąc to wyszła z kabiny i Kelda usłyszała, jak przerzuca rzeczy w swoim pokoju.

— Mam go! — wykrzyknęła po chwili. Słysząc było darcie papieru, a później Yvette weszła do kabiny Keldy z koszem na śmieci w ręku.

— Dziś nie będę otwierać iluminatora — rzekła — ale wszystko mam tu, w drobnych kawałeczkach i pierwszą rzecz, jaką zrobię rano, to wyrzucę je do morza. Wtedy nikt, nawet ryby, nigdy nie dowie się, co Potwór o tobie napisał.

Kelda patrzyła na nią szeroko rozwartymi oczami.

— Jestem pewna, że to... niewłaściwe.

— A właśnie, że całkiem właściwe — sprzeciwiła się Yvette. — Skoro Remy twierdzi, że tak, to nie ma na ten temat dyskusji. Jesteś wolna, Keldo, wolna od tej potwornej staruchy i wszystkiego, co cię spotkało w przeszłości po śmierci rodziców.

— Nie... nie mogę w to uwierzyć — powiedziała Kelda czując, że łzy napływają jej do oczu.

Yvette niespodziewanie objęła ją i pocałowała.

— Kocham cię, Keldo — rzekła — a skoro ja zaczynam nowe życie, ty też je zaczniesz. Wszyscy będziemy szczęśliwi. Idę spać, a jutro rozpoczniemy zastanawiać się nad moją ślubną kreacją. Chcę wyglądać ślicznie, absolutnie ślicznie w oczach Remy'ego.

Następnego ranka, gdy Kelda miała jeszcze na sobie szorstką perkalową koszulę nocną, w którą wyposażyła ją pani Gładwin, Yvette weszła do jej kabiny.

— Wydawało mi się, że już jesteś na nogach — powiedziała. — Byłam zbyt podniecona, by spać, więc wybrałam dla ciebie mnóstwo rzeczy, które możesz nosić, dopóki nie kupimy czegoś nowego.

— Myślę, że nie powinnam ich przyjąć — zaprotestowała Kelda, ale Yvette nie chciała tego słuchać.

Przyniosła ze swojej kabiny cały stos sukien, bielizny i koszul nocnych. Było tego tyle, że Keldzie zaparło dech z wrażenia.

— Ależ nie możesz mi oddać tego wszystkiego! — broniła się.

— Mam tego moc, na razie mi wystarczy — odparła Yvette. — Właśnie napisałam do kuzynki, która zawsze doradzała mi w doborze garderoby, żeby przysłała mi z Paryża jak najszybciej całe mnóstwo strojów, które będą mi potrzebne w Dakarze.

— Przecież nakupowałam już ich w Londynie! — wykrzyknęła Kelda.

— Londyńska odzież nie jest tak elegancka jak paryska — odrzekła Yvette. — Ale pomyśl, jak dobrze się złożyło, że nabrałam ich tyle i starczy dla ciebie.

To rzeczywiście prawda, pomyślała Kelda, przeglądając dary przyjaciółki. Nie do wiary, że po tych wszystkich latach będę wreszcie wyglądać jak człowiek.

Kelda była znacznie szczuplejsza niż Yvette, więc zwężenie sukienek w talii okazało się konieczne. Yvette, zgodnie z modą, nosiła suknie mocno wcięte w pasie, natomiast wąska jak u osy talia Keldy była całkowicie naturalna. Nie potrzebowała więc świetnie zrobionych francuskich gorsetów, które podarowała jej Yvette. W wyniku lat ciężkiej pracy, nieustannego wbiegania i zbiegania po schodach i skromnego odżywiania na ciele Keldy nie było grama zbędnego tłuszczu. Była młoda, miała doskonałą figurę i zaokrąglone, bardzo kobiece piersi. Nie zdawała sobie z tego sprawy, że stojąc nago przypomina posąg greckiej bogini.

Kiedy wreszcie ubrała się w obszytą koronkami bieliznę Yvette, jedwabne pończochy — pierwszy raz w życiu miała takie na sobie — i suknię, która kosztowała astronomiczną kwotę na Rue de la Paix, pomyślała, że nie starczy jej odwagi na wyjście z kabiny.

— Nie mogę tak się pokazać — powiedziała do Yvette z przestrawieniem. — Co ludzie pomyślą?

— To znaczy kto? — spytała Yvette. — Wątpię, czy te stare zasuszone ciotki na pokładzie nawet cię zauważą! Ale wyglądasz świetnie, najdroższa Kelda, i jeżeli Remy rzuci mnie dla ciebie, przysięgam, że cię zabiję.

Kelda roześmiała się.

— Myślę, że to mało prawdopodobne — powiedziała — ale... Yvette, nie wiem, jak ci... dziękować.

Głos jej się załamał i załapała się łzami. Nie chodziło tylko o śliczny strój. Po latach poniżej ta przemiana odbiła się w jej duszy i poczuła się odrodzona jak feniks z popiołów.

Yvette utuliła ją.

— Nie płacz, zepsujesz cały efekt — powiedziała. — Chcę, żebyś swoim widokiem zwała z nóg Remy'ego. W końcu to był jego pomysł. Chodźmy już i pokażmy się. Czeka tam na mnie.

Onieśmielona jak jeszcze nigdy w życiu, Kelda podążyła za Yvette do świetlicy dziobowej, gdzie oczekiwał ich Remy. Kiedy wkroczyła do sali, zobaczyła, jak jego oczy rozwarły się szeroko ze zdumienia. Po chwili wyciągnął ręce i zawołał:

— Cest magnifique! Gratuluję, Yvette. O to właśnie chodziło!

— Jesteście... tacy dobrzy — wykrztusiła Kelda ze ściśniętym gardłem.

— Usiądź — powiedział Remy. — Musimy uczcić dwie rzeczy: po pierwsze, mademoiselle Lawrence, wypijmy za przyszłość Yvette i moją. Następnie wypijmy za twoją, a przeczuwam, że będzie całkowicie różna od tej, jakiej oczekiwałaś wchodząc na ten pokład.

— Jeżeli tak się stanie, to tylko dzięki panu, monsieur — rzekła Kelda.

— Przypiszę sobie zasługę dopiero wtedy, kiedy po naszym ślubie i pani wyjdzie za mąż.

Yvette klasnęła w ręce.

— Ach, jakiś ty mądry — powiedziała. — W Paryżu musimy znaleźć kochanej Keldzie poważanego i bardzo bogatego męża.

— Takiego jak ja — z błyskiem humoru w oku powiedział Remy.

— Nikt nie może być nawet w przybliżeniu tak cudowny jak ty! — zawołała Yvette.

— Nie chciałabym, żebyście tak się mną zajmowali — półgłosem powiedziała Kelda — ale wiecie, jakie są moje uczucia dla was.

Oboje zapomnieli na chwilę o obecności Keldy. Kiedy podnosiła ku nim swój kielich szampana, pomyślała, że nigdy nie widziała tak szczęśliwej pary.

— To jest jak bajka — powiedziała wieczorem do Yvette, przebierając się do kolacji w piękną wieczorową suknię.

— Masz rację. Remy jest Księciem z Bajki, a ja nie tylko Kopciuszkiem, ale również twoją Dobrą Wróżką.

— Moja suknia z pewnością nadaje się na bal u Księcia — powiedziała Kelda.

— Będiesz bywać na prawdziwych balach w Paryżu. Noc w noc. Remy uwielbia taniec tak jak ja. Mówi, że gdy ogłosimy nasze zaręczyny, jego ojciec wyda najwystawniejszy bal, jaki widziano w Paryżu.

Trzeba było zaplanować wszystko, więc — w czasie gdy statek posuwał się wzdłuż wybrzeża Afryki — Yvette pracowicie sporządzała spisy najprzeróżniejszych potrzebnych rzeczy, w które koniecznie będzie musiała zaopatrzyć się w Paryżu.

— Chyba nie potrzebujesz aż dwudziestu parasolek od słońca — protestowała Kelda.

— To ledwo starczy. Po jednej do każdej letniej kreacji. Pamiętaj, że lato zacznie się tuż po naszym ślubie.

Kiedy Kelda zostawała sama, ogarniał ją niepokój. Jak rzecz całą przyjmie lord Orsett? Nie myślała o nim już z takim przerażeniem jak na początku podróży. Wtedy płakała po nocach, wspominając panią Gladwin, która powtarzała w kółko: „Gdy nie będziesz już potrzebna jego lordowskiej mości, masz niezwłocznie wracać do domu”. Teraz zastanawiając się poważnie nad przyszłością, przeczuwała, że lord Orsett uzna Yvette za zbyt młodą, by mogła podejmować życiowe decyzje.

Yvette wyglądała co prawda dojrzałe jak na swój wiek, była bowiem inteligentna i otrzaskana towarzysko w Paryżu. Naprawdę miała jednak niecałe osiemnaście lat i tylko to, jak domyślała się Kelda, będzie miało znaczenie dla lorda Orsetta. Ludzie jego pokroju nie wglębiają się w zawilości uczuć, lecz wyrabiają sobie opinie, ulegając pierwszemu wrażeniu.

Remy także o tym wiedział, chociaż był zbyt taktowny, by powiedzieć to głośno. To dlatego nalegał, żeby zmieniła swój wygląd. Była mu za to głęboko wdzięczna.

Teraz nie musiała ściągać włosów w ciasny węzeł na karku, czego wymagała od niej pani Gladwin. Mogła je układać w modniejsze fryzury, dzięki którym wyglądała bardziej kobieco. Wiedziała, że staje się podobna do matki.

Po raz pierwszy od śmierci rodziców czuła się wolna i mogła zachowywać się tak, jak chciała. Dotychczas musiała grać narzuconą jej siłą rolę „tej z przytułku”. Nie mogła okazać, że jest lepiej urodzona i bardziej wykształcona niż inni wychowankowie sierocińca albo służba w pensji pani Gladwin, musiała okazywać szacunek ludziom, którzy uważali się za lepszych od niej. Teraz mogła rozmawiać jak równy z równym z Remy i Yvette. Poczowała, jak lata upokorzeń odpływają w siną dal, a ona znów jest córką swoich rodziców, podróżuje z nimi w atmosferze bez troski i radości. Co wieczór modliła się gorąco:

— Panie Boże, spraw, aby dalej wszystko układało się dobrze. Nie pozwól, by lord Orsett odesłał mnie do Anglii, zanim nie uda mi się gdzieś zaczepić. A jeśli to możliwe, spraw, Panie, abym zobaczyła Paryż wraz z Yvette. Błagam cię, Boże...

To był jęk błagania z głębi duszy, trudno bowiem było uwierzyć w trwałość szczęścia, które zaświeciło jej tak niespodzianie jak słońce w pochmurny dzień.

Modliła się też za Yvette, której była bezgranicznie wdzięczna.

— Spraw, Boże, żeby ona i Remy zawsze tak się kochali. Spraw, żeby lord Orsett pozwolił im się pobrać.

Tę modlitwę odmawiała nie tylko wieczorem w swojej kabinie, ale zawsze wtedy, kiedy widziała tych dwoje razem. Miłość ich rosła nieustannie i świata poza sobą nie widzieli. Z oczu Remy'ego bił szczyry zachwyt, a Yvette kochała go z całego serca i z całej duszy.

Są tacy szczęśliwi, myślała Kelda. Każde z nich znalazło to, za czym gonią wszyscy ludzie na świecie: swoją drugą połowę. Nikt i nic nie może ich rozdzielić.

Tak myśląc czuła się jak Joanna d'Arc z mieczem w dłoni, gotowa do walki o słuszną sprawę. Jeśli trzeba będzie podjąć walkę — ona jest na nią całkowicie zdecydowana.

ROZDZIAŁ 3

Statek zawiął do portu w Dakarze wczesnym popołudniem. Słońce prażyło, ale pasat lekkim powiewem fałdował powierzchnię wody i łagodził upał. Ciało Keldy z rozkoszą chłonęło promienie słońca, które roztapiały resztki angielskiego chłodu i budziły w niej

nowe siły. Wkrótce trzeba będzie opuścić statek. Wydawało jej się, że nie zniesie zejścia na ląd. Chciałaby płynąć dalej, bez przerwy, w nieznaną krainę. Pokład statku był dla niej miejscem, gdzie uzyskała wolność i gdzie poczuła się bezpiecznie jak w domu. Trudno jej było się z nim pożegnać.

Zbliżała się też chwila spotkania z lordem. Oczekiwały jej z napięciem. Yvette robiła dobrą minę do złej gry mówiąc, że wcale się nie boi, bo jest z nią Remy. Ale Kelda wyczuwała, że i on się denerwuje. Miał wprawdzie wiele do zaoferowania swojej przyszłej małżonce, Kelda wiedziała jednak, że arystokratycznych de Villonów nie zadowoli jego pochodzenie. A najważniejsze: co powie lord Orsett?

Kelda czuła dreszcz podniecenia na myśl, że jest w Afryce, że ma okazję poznać kraj, którego jeszcze nie widziała. Żałowała, że nie ma z nią ojca. Wybrzeże było bardziej płaskie, niż sobie wyobrażała. Stojąc na pokładzie, mogła widzieć złoty piasek na brzegu i palmy kokosowe schodzące aż na plażę.

Sam Dakar leżał na półwyspie wrzynającym się w Atlantyk. Domów było więcej, niż się spodziewała, wszystkie chroniły się w kępach drzew.

Według słów kapitana, port w Dakarze był naturalnym portem głębokowodnym. Kapitan opowiadał też o wyspie Gorce, odległej zaledwie milę od brzegu, której bogactwo miało źródło w handlu niewolnikami. Keldę przeszedł dreszcz, słyszała bowiem o okropnościach niewolnictwa i katuszach, jakie musieli znosić schwytani i sprzedani w niewolę, stłoczeni pod pokładami statków płynących na krańce świata. Próbowała o tym zapomnieć, obserwując miasto, gdy statek powoli przybijał do nabrzeża.

Kiedy tak stała trzymając się relingu, dołączyli do niej Yvette i Remy. Razem przyglądali się tłumowi w dole.

— Widzę powóz jego lordowskiej mości — Remy zniżył głos. Wskazał dziewczętom elegancki odkryty powóz, zaprzężony w dwa konie, z chroniącą od słońca obszytą frędzlami markizą z bawełnianego białego płótna. Powoził stangret w wyszukanej liberii, która wyglądała trochę nie na miejscu w tym upale. Także jego pomocnik był podobnie odziany. Stali obaj, wpatrując się w statek wraz z całym tłumem zgromadzonym na nabrzeżu.

— Czy jest z nimi mój wuj? — niepewnie spytała Yvette.

— Nie widzę go. I byłoby do niego niepodobne, gdyby pojawił się tu osobiście.

Słowa Remy'ego przypomniały Keldzie, że lord uważany jest za odludka. Dobry nastrój prysnął na myśl o zbliżającym się spotkaniu.

Taka radosna była ostatnio! Za każdym razem, gdy wkładała którąś ze wspaniałych sukni Yvette, czuła, że wraz z wyglądem zewnętrznym zmienia się też jej charakter i osobowość. Nie musiała się teraz powstrzymywać od inteligentnych wypowiedzi, mogła się swobodnie śmiać, a przede wszystkim nabrała wiary w siebie. Dzięki Yvette przestała bać się jutra. Wstydziła się swojej dawnej słabości i unizoności. Miały swoje źródło w pogroźkach pani Gladwin. Wmówiła jej, inteligentnej dziewczynie, że jest „tą z przytułku”, która nie ma szans na znalezienie gdziekolwiek pracy, bez referencji i bez własnych pieniędzy na przetrwanie.

Teraz zmieniło się wszystko. Miała przyjaciółkę, była ubrana tak, że matka nie ubrałaby jej lepiej, i — jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego — Yvette i Remy zaopiekują się nią i nie będzie już sama na świecie.

Wczoraj, kiedy po raz kolejny fetowali swoją wspólną przyszłość, powiedziała głosem nabrzmiałym od łez:

— Jesteście oboje tacy dla mnie dobrzy... Remy uśmiechnął się do niej miło.

— Chcemy, żebyś była szczęśliwa, a ja zawsze będę ci wdzięczny za to, co zrobiłaś dla mojej przyszłej małżonki.

— Wiesz, że cię kocham—dodała Yvette.—Mamy z Remym dla ciebie niespodziankę w Paryżu. Chcemy, żebyś została nauczycielką angielskiego u jego siostry.

Kelda z trudem powstrzymywała łzy.

— Czuję się tak, jakbym po latach wynurzyła się z mgły na światło słoneczne.

— Tak, czeka cię słoneczna przyszłość. Ale dziś musisz stawić czoło lordowi Orsettowi — rzekł Remy.

Zapadła chwila ciszy. Wszyscy troje zadumali się nad tym, co ich czeka.

— Czy odprowadzisz nas do domu wuja? — Yvette spojrzała na Remy'ego. — To dodałoby nam odwagi.

— Jestem pewien, że to byłby błąd. Pomyślałby, że pozwalam sobie na zbyt wiele. Przedstawię mu się formalnie jutro. Myślę też, że nie trzeba od razu mówić mu o naszych zaręczynach. Osobiście poproszę go o twoją rękę.

— Zrobię wszystko, co mi każesz — odparła Yvette. Jej głos brzmiał słabo, w oczach czał się niepokój.

Statek powoli dobijał do nabrzeża. Yvette spazmatycznie uczepliła się ramienia Remy'ego.

— Zejdźmy lepiej na dół i przygotujmy się do opuszczenia statku — westchnęła Kelda.

— Musimy jeszcze podziękować tym miłym starszym państwu, którzy opiekowali się nami w podróży.

— Raczej podziękujmy im za to, że tego nie robili — wyrwało się Yvette.

Wygłosiła jednak mówkę dziękczynną, która usatysfakcjonowała oboje pastorostwo. Następnie pożegnała się czule z Remym i obie z Keldą usiadły w kabinie.

Rozległo się pukanie. W drzwiach ujrzały eleganckiego starszego pana, który wyjaśnił, że przybył w imieniu lorda Orsetta i będzie im towarzyszyć do jego rezydencji, a także zajmie się bagażami.

Schodząc po trapie, Yvette obejrzała się jeszcze raz, aby uchwycić spojrzenie Remy'ego. Tłum rozstępował się, gdy podążali w kierunku powozu.

Starszy pan pomógł im wsiąść, pomocnik stangreta wskoczył na stopień i konie ruszyły. Jechali cienistymi alejami. Po drodze Kelda przyglądała się Afrykańczykom. Wyglądali inaczej niż ci, których pamiętała z Algierii. Najbardziej rzucały się w oczy miejscowe kobiety w malowniczych, wielobarwnych tunikach, zwanych boubou. Odziane w jaskrawe błękity, fiolety, zielenie i róże płynęły jak olbrzymie kwiaty, z głowami owiniętymi w kolorowe turbany, boso, podzwaniając niezliczonymi bransoletami.

Ale nie tylko kobiety robiły wrażenie. Uroda mężczyzn była wprost oszałamiająca. Wysokiego wzrostu, szerocy w barach, a wąscy w biodrach, poruszali się z taneczną, lecz pełną ukrytej siły gracją.

Tata niejedno by mi opowiedział o tutejszych plemionach, myślała Kelda. Wiele pytań rodziło się w jej głowie i zastanawiała się, czy lord Orsett będzie mógł jej na nie odpowiedzieć.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Zostawili za sobą zabudowania miasta i teraz droga wiodła zakurczonym traktem nad morzem. Teren wznosił się, brzeg przeszedł w urwisko. Nagle Kelda ujrzała wyrastający przed nimi meczet — nie meczet, pałac — nie pałac. Z trzech stron otaczały go drzewa, czwarta wychodziła na morze. Drogę przegrodziła brama z kutego żelaza, wykończona złotymi ozdobami.

Byli na miejscu.

Pałac w promieniach słońca lśnił oślepiającą bielą. Przypominał angielską rezydencję z epoki króla Jerzego, inne były tylko wysokie okna i typowo orientalne zdobienia. Nad kolumnowym portykiem powiewała flaga, na której widniał —jak się domyślała Kelda — herb Orsettów. Hibiskusy obsypane jaskrawoszkarłatnym kwieciami okalały podjazd. Wydawało się, że podnóże białego budynku skąpane jest w ogniu.

— Ależ piękny! — wyrwał się Keldzie okrzyk.

— Boję się...—jęknęła Yvette.

— Nie ma czego — uspokajała ją Kelda, chociaż sama nie czuła się zbyt pewnie. — Jak widać, twój wuj umie przynajmniej docenić piękno.

Obawiała się, że to nie pocieszy specjalnie Yvette. W tej chwili powóz zatrzymał się u stóp imponujących schodów pokrytych czerwonym chodnikiem. Ubrana w białe uniformy z wyhaftowanym na nich czerwonym herbem Orsettów służba wyległa na ich przywitanie.

Yvette i Kelda wysiadały z wolna. Kelda dziękowała Bogu, że nie jest ubrana w swoje okropne łachy, w których — z woli pani Gladwin — miała się tu pokazać. W jasnozielonej, młodzieńczej i wiosnianej sukni i kapeluszu przybranym białymi różami i liśćmi w kolorze sukni Kelda stanowiła dziś doskonałe uzupełnienie Yvette, która była ubrana na różowo, w ulubiony kolor Remy'ego. Jej suknia była bardzo wykwintna — zdaniem Keldy nawet za bardzo — ale Yvette chciała wypaść jak najlepiej. Jej kapelusz i mała parasolka z rączką z różowego kryształu górskiego były przybrane różami.

Majordomus mówiący po francusku zaprosił je do środka. Weszły do przestronnego hallu. Jak zwykle w domach budowanych w klimacie tropikalnym, było tu dwoje drzwi w przeciwległych ścianach, aby przewiew chłodził powietrze nawet w najgorętszej porze dnia.

Przez te drugie drzwi Kelda ujrzała błękit morza za krawędzią klifowego urwiska. Widok z okien domu lorda Orsetta musiał być wspaniały. Umierała z ciekawości, jaki jest sam gospodarz. Lokaj otworzył drzwi po lewej stronie i znalazły się w dużej komnacie o sześciu ogromnych oknach wychodzących na taras. Rolety były zaciągnięte do połowy, panował przyjemny chłód. W pierwszej chwili nie dostrzegły mężczyzny w mrocznym wnętrzu. Zobaczyły go dopiero, gdy się podniósł, i wiedziały już — to musiał być lord Orsett.

Kelda szła za Yvette i przyglądała się lordowi. Jakże bardzo różnił się od jej wyobrażeń! Po pierwsze był znacznie młodszy, niż sądziła. Zbudowany nie gorzej niż krajowcy, których podziwiała po drodze z portu. Potężny, w białym garniturze, budził respekt. Miał wyraziste rysy twarzy i był przystojny. Typowy arystokrata angielski. Jednocześnie z oblicza bił mu cynizm i surowość, prawie srogość.

Gdy spoglądał na Yvette, Kelda aż zadrżała, tak beznamienne, krytyczne i taksujące było to spojrzenie. Było w tym coś nieprzyjemnego.

— Witaj w Dakarze, Yvette. Mam nadzieję, że podróż była przyjemna. — Głos miał głęboki.

Yvette dygnęła.

— Bardzo przyjemna, dziękuję, wuj Maksymie. Pozwól, że przedstawię moją przyjaciółkę, Keldę Lawrence. Towarzyszyła mi w podróży.

Lord Orsett przeniósł wzrok na Keldę, która także dygnęła, z trudem wytrzymując jego spojrzenie.

— Przyjaciółka? Poleciałem przełożonej, aby wydelegowała z tobą nauczycielkę.

— Żadna nie zgodziła się na tak daleką podróż.

— Yvette zamilkła. Kelda domyślała się, że miała zamiar dodać coś o „zabitej deskami dziurze”, ale w ostatniej chwili powstrzymała się.

— Natomiast panna Lawrence uległa, tak? — zauważył kwaśno lord Orsett.

— To dla mnie wyróżnienie, milordzie.

— Kelda jest obyta z dalekimi podróżami, wujku Maksymie — wyjaśniła szybko Yvette.

— Jej ojcem był Filip Lawrence, archeolog, z którym zwiedziła kawał świata.

— Czyżby?

Obie wiedziały, że nie jest zadowolony, iż nie przysłano kogoś starszego.

— Teraz dostaniecie coś do picia. O tej porze jest najgoręcej. Dla większości ludzi tutaj to okazja, żeby sobie zrobić sjęstę.

W jego głosie zabrzmiała pogarda dla słabości. Zanim dziewczęta odpowiedziały, służba wniosła tacę z napojami i słodyczami, które okazały się przepyszne.

Usiedli w wygodnych fotelach. Kelda rozejrzała się po pokoju. Urządzony był z wyjątkowym smakiem. Na ścianach wisiały obrazy mistrzów pędzla. Co więcej, wnętrze nie było zagracone, jak to było w zwyczaju w Anglii. Tylko parę sztuk ceramiki, parę rzeźb — najpewniej wytworów sztuki miejscowej; poza tym pokój był pusty, tak że można było podziwiać jego szlachetne proporcje, charakterystyczne — co Kelda wiedziała od ojca — dla wielkiej architektury osiemnastego stulecia.

Jej myśli jednak krążyły wciąż wokół osoby gospodarza. Usadowił się wygodnie, rozluźniony — ale emanowała zeń siła i jeszcze coś, czego się bała. Próbowwała zrozumieć, co to takiego. Wydawało jej się, że siła woli, determinacja w dążeniu do celu, coś, co przyciągało ją jak magnes.

— Co o nim sądzisz? — spytała w chwilę potem Yvette, kiedy pokazywano im ich sypialnię.

— Budzi we mnie przemożny lęk — bez namysłu powiedziała Kelda.

— Rozumiesz więc, co ja czuję. Jak mam mu powiedzieć o zaręczynach z Remyem?!

— Nic mu na razie nie mów. Jutro Remy tu będzie.

— Dobrze, masz rację — westchnęła Yvette.

— Mam wrażenie, że gdybyśmy się mu sprzeciwiły, zgniótlby nas jak pluskwy.

Kelda wiedziała, że przyjaciółka ma słuszość, ale wolała nie mówić tego głośno. Poczula nagle, że obie są zdane na łaskę i niełaskę lorda Orsetta. Tu, w Afryce, nie mogły ruszyć się z miejsca bez zgody gospodarza. Były więźniarkami tej luksusowej rezydencji, a wokół nie było nikogo, kto mógłby pospieszyć im z pomocą lub choćby radą.

Kelda postanowiła jednak wziąć się w garść i — przede wszystkim — nie dać Yvette poznać po sobie, co ją gnębi. Jakby nigdy nic podeszła do okna i zaczęła podziwiać widok. Przed nią rozpościerała się szmaragdowa toń Atlantyku, zlewająca się na mglistym horyzoncie z błękitem nieba. Na lewo widniała wyspa Goree, a na prawo brzeg rozciągał się daleko, lśniąc złotym piaskiem i zielenią palm kokosowych. Miejscowi rybacy wypływali w morze w wąskich i długich łodziach, zwanych — jak gdzieś przeczytała — pirogami. Wyglądały krucho i romantycznie, a Kelda zastanawiała się, czy będzie jej dane popłynąć kiedyś taką łodzią.

Za nią Yvette mówiła wciąż, siedząc na obszernym i na oko wygodnym łóżku. Kelda zwróciła się do niej.

— Nie wspomniałaś, że wuj jest taki młody. Spodziewałam się mężczyzny dużo starszego, kogoś, kto mógłby być twoim ojcem.

— Mnie wydaje się stary.

— Ile ma lat?

— Jakieś trzydzieści sześć, trzydzieści siedem. Jak dla mnie jest bardzo stary.

Kelda roześmiała się.

— Z pewnością nie uznałby tego za komplement.

— Nie sądzę, żeby przejmował się czymkolwiek, co o nim mówię lub myślę — powiedziała Yvette z rozdrażnieniem. — Widzisz, jaki on jest: kompletnie zapatrzony w siebie. Remy mówił, że nikt z młodzieży w Dakarze go nie lubi, bo zachowuje się protekcyjnie. No, ale jest przyjacielem gubernatora.

— Czy jego też traktuje protekcyjnie? W ogóle zastanawiam się, co on, Anglik, robi we francuskiej kolonii.

— Myślę, że znalazł się tu dlatego, że ciocia była Francuzką i wolała środowisko francuskojęzyczne. Niektórzy wolą francuski od angielskiego-

Yvette w ten sposób docinała Keldzie, która często śmiała się z jej francuskiego nacjonalizmu.

— Co Anglia zrobiła dla ciebie, oprócz tego, że wysłała cię do sierocińca? — spytała kiedyś.

— Jakkolwiek było, zawsze pozostanę Angielką — rzekła wtedy Kelda.

A Yvette odparła z dumą:

— A ja, dzięki Bogu, Francuzką.

— Powinniśmy się ubierać w barwy narodowe — dodała Kelda. I obie roześmiały się.

Teraz myślała o lordzie i wydawało jej się, że jako Anglik powinien mieszkać we własnym kraju. Skoro jest tak bogaty, jak mówią, na pewno posiada domy i majątki ziemskie w Anglii. Dlaczego wybrał życie tutaj, w Dakarze? Oto tajemnica, której może nigdy nie rozwikła!

— Czy nie sądzisz, że należałoby teraz zejść na dół i pogawędzić z wujem Maksymem? — spytała Yvette.

— To na pewno byłoby dobrze widziane — odpowiedziała Kelda. — Chciałabym także obejrzeć resztę domu, a jeśli jest niezbyt upalnie — posiedzieć na tarasie i ponapawać się widokiem morza.

— Nie znoszę morza, wolałabym z okna patrzeć na dachy Paryża. Mam ochotę pójść gdzieś potańczyć z Remy. Chce słuchać plotek, słuchać ludzi cieszących się życiem, a nie takich ponuraków jak wuj Maksym — odparła Yvette.

— Dlaczego on tutaj tkwi? — spytała znów Kelda.

— Trzeba by go zapytać, ale wątpię, żeby powiedział prawdę.

— Zejdźmy i spytajmy go — zaproponowała Kelda.

Zeszły po schodach na parter, a w hallu major-domus poinformował je, że zgodnie z poleceniem gospodarza, może je oprowadzić po całym domu. Potem będzie herbatka na tarasie.

Z ulgą przyjęły wieść, że mogą zwiedzać dom same, bez złowrogiego towarzystwa gospodarza. Wędrowały od jednej przestronnej i pięknej komnaty do drugiej i Kelda mogła potwierdzić swoją opinię o doskonałym goście lorda.

Udało mu się dokonać rzadkiej sztuki umiejętnego połączenia sztuki europejskiej z wytworami miejscowych artystów. Było tu wiele rzeźb, wyglądających na stare i wyrastające z głębin tradycji tego ludu, o których Kelda chętnie porozmawiała z jakimś znawcą. Były cenne wyroby złotnicze i tchnące wyjątkowym urokiem tkaniny. Znajdowało się tu mnóstwo przedmiotów, nad którymi rada by zatrzymać się dłużej, ale Yvette była już znudzona. Obiecała sobie zająć się tym później.

Pospieszyły na taras, gdzie służba podała prawie angielską herbatę.

— Jak myślisz, czy wuj Maksym wydaje jakieś przyjęcia? — spytała Yvette. — Ma tu mnóstwo miejsca.

— Sama mówiłaś, że to odludek — odparła Kelda.

— Taką opinią cieszy się w Paryżu. Potwierdza to Remy, który mówi, że poza kolacyjkami z gubernatorem nie spotyka się z nikim.

— Co w takim razie robi po całych dniach? Yvette wzruszyła ramionami.

— Siedzi i oddaje się zimnej nienawiści. Albo rzuca czary.

Kelda milczała. Po chwili Yvette dodała:

— Pamiętasz, że chciałam go zaczarować? Zdaje się, że będę musiała uciec się do bardzo potężnych czarów.

— Miejmy nadzieję, że osiągniesz to, czego pragniesz, bez uciekania się do czarnej magii — odrzekła Kelda.

Wciąż dumiała o lordzie. Wydał jej się postacią wielce tajemniczą. W tym olbrzymim domu obie poczuły się odcięte od świata, chociaż starały się sobie wmówić, że to nieprawda. Po herbatce rozglądały się za gospodarzem, ale nie dał znaku życia. Nadszedł majordomus i oznajmił, że bagaże pań przybyły już z portu, że służba zajęła się już ich rozpakowaniem, i że kolacja będzie o ósmej.

Yvette skinęła głową na znak, że przyjęła to wszystko do wiadomości, natomiast Kelda zapytała:

— Gdzie znajdziemy lorda Orsetta przed kolacją?

— Jestem do dyspozycji panienki i zaprowadzę ją do milorda.

— Dziękuję — Kelda wstała i poszły z Yvette na górę.

Ponieważ był to początek roku, zmierzch zapadł wcześniej. O piątej panował już przyjemny chłód. Keldzie patrzącej na zachodzące nad Dakarem słońce, trudno było uwierzyć, że w Anglii jest wciąż śnieg i mróz, lód, zawieje i zamiecie. I że w pokoiku na poddaszu u pani Gladwin, gdzie zawsze brakowało koców, panuje przejmujące zimno.

W swoich sypialniach dziewczęta zastały pokojówki, rozpakowujące ich kufry. Były to śliczne Murzynki, ubrane w takie same sukienki z bawełny, jakie noszą gospoście w Anglii. Za to na głowach miały szkarłatne turbany, pasujące kolorem do naszywek na liberiach męskiej służby.

— Jego lordowska mość lubi, zdaje się, kolory — zauważyła Kelda, gdy wyszły pokojówki.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Służba ubrana jest barwnie, pokoje też są kolorowe, chociaż na pierwszy rzut oka wydają się białe.

— No i co z tego? Mamy sobie pomalować twarze we wszystkie kolory tęczy?

— Nie, skądże — uśmiechnęła się Kelda — ale włoż na dzisiejszy wieczór którąś z barwniejszych sukienek. Musimy zrobić na nim dobre wrażenie.

— Włożę tę wiśniową z tiulu, którą tak lubi Remy.

— A ja tę błękitną, szyfonową, którą dostałam od ciebie.

— Myślisz, że jest wystarczająco szykowna na przyjęcie u lorda? — droczyła się Yvette.

— Z nas obu to ty jesteś ta ważniejsza — odparła Kelda. — Zresztą tak się sobie podobam we wszystkim, co od ciebie dostałam, że nic mnie nie obchodzi, co na to powie jego lordowska mość.

— Szkoda, że ja tak nie mogę powiedzieć! — rzekła Yvette i dodała zbolalym głosem: — Pomyśl, jak beznadziejnie czułabym się teraz, gdybym nie spotkała Remy'ego. Wyobraź sobie mnie zamkniętą tu na lata, nie mającą do kogo ust otworzyć.

— Przecież w Dakarze muszą być jacyś biali.

— Tylko mężczyźni. A według Remy'ego, wuj Maksym nigdy nikogo nie zaprasza, zwłaszcza ludzi młodych. Remy był tu tylko dwa razy, towarzysząc gubernatorowi w jakichś sprawach służbowych.

Kelda nie odpowiedziała nic. Pomyślała tylko, że Yvette, przyzwyczajonej do paryskich rozrywek, pełnej energii, życie tutaj mogło wydawać się strasznie nudne. Natomiast dla niej, Keldy, alternatywą była pensja pani Gladwin i ciężka harówka, a nie paryskie bale. Myśląc o tym, znów zmówiła krótką modlitwę dziękczynną. Niezależnie od tego, co się stanie, teraz mogła na chwilę zapomnieć o ośmiu długich, upokarzających latach.

Zeszły na dół. Służący zaprowadził je szerokim chłodnym korytarzem do pokoju, którego jeszcze nie znały. Okna z dwóch stron wychodziły i na morze, i na ląd, ale było już zbyt ciemno, żeby cokolwiek przez nie zobaczyć.

Kelda nie mogła oderwać oczu od wnętrza. Pokój był obszerny, jak i pozostałe, ale wypełniony po sufit. Na wszystkich ścianach piętrzyły się półki z książkami, na każdym stoliku, a nawet na podłodze leżały stosy książek.

— Pomyślałem, że chętnie zobaczycie moją świątynię, w której spędzam prawie cały czas — lord Orsett zwrócił się do Yvette — dlatego zaprosiłem was tutaj. Nie sądzę, żebyście w przyszłości miały tu często zaglądać.

— Dlaczego nie? — zdziwiła się Yvette.

— Bo tu pracuję.

— Cóż to za praca?

— Piszę historię plemion Afryki Zachodniej. Kelda niechcący aż pisnęła z podniecenia.

Lord zwrócił się do niej:

— Zaskoczyłem panią, panno Lawrence?

— Niezwykle mnie to interesuje, milordzie. Kiedy oglądałam rzeźby z pańskiej kolekcji, brakowało mi bardzo objaśnień. Jestem pewna, że mają długą i ciekawą historię. Z pewnością mity i legendy Afryki Zachodniej są fascynujące.

Lord Orsett sprawiał wrażenie zaskoczonego. Prawie ostro rzekł do Yvette:

— Ciebie to także interesuje?

— Mnie bardziej interesuje chwila obecna niż przeszłość — odparła Yvette. — Gdybym miała studiować historię, najbardziej chciałabym, żeby to była historia Paryża.

W jej głosie zabrzmiała prowokacja. Lord Orsett zmarszczył brwi. Widać było, że Yvette go zirytowała. Powiedział:

— Może w takim razie miałabyś ochotę na lampkę wina przed kolacją. Skoro masz taką słabość do Paryża, pewnie za najodpowiedniejszy uznasz szampan.

— Dziękuję, wuju Maksymie. Kiedy ostatnio był wuj w Paryżu?

— Szkoda gadać, dawno. I nie mam ochoty więcej tego miejsca oglądać — w głosie lorda Orsetta zabrzmiała nie ukrywana pogarda.

— Jak można tak mówić? Paryż to najpiękniejsze i najciekawsze miejsce na świecie! — zawołała Yvette.

— A jak wiele miejsc na świecie widziałaś? — zapytał lord z nutą szyderstwa w głosie.

— Dosyć, żeby wiedzieć, gdzie mi się podoba i gdzie chciałabym zamieszkać.

To stwierdzenie pozostało bez repliki. W oczach lorda Kelda dostrzegła stalowe błyski, a jego wargi zacisnęły się w wąską linię. Yvette go niepotrzebnie drażni, pomyślała i chcąc załagodzić sytuację, rzekła:

— Czy wszystkie te książki mówią o Afryce?

— Prawie.

— Chciałabym przeczytać pare, jeżeli pan pozwoli. Nie chcę być natrętna i zanudzać pana pytaniami.

— Większość jest po francusku — powiedział niechętnie.

— Czytam biegle po francusku — odparła. Wyraz twarzy lorda świadczył, że nie bardzo wierzy jej słowom, ale odpowiedział grzecznie:

— W takim razie znajdę kilka pozycji na tematy, które szczególnie panią interesują.

Z ulgą przyjęły zapowiedź obiadu. Przeszli do jadalni, gdzie z łatwością można by urządzić przyjęcie na pięćdziesiąt, a nawet sto osób, i nie byłoby tłoku.

Posiłek był wyszukany i bardzo smaczny. Kelda w obawie, że Yvette znowu będzie drażnić wuja, zadawała wiele pytań na temat potraw, które pojawiały się na stole.

Lord podawał jej nazwy miejscowych ryb, dowiedziała się też, że maleńkie, podobne do wiśni pomidory to miejscowa specjalność. Rozmowa była ciekawa, ale Yvette, wyraźnie znudzona, nie starała się do niej przyłączyć. Kiedy przeszli do salonu, zaczęła ziewać.

Kelda już miała zaproponować, że pójdą na górę położyć się, gdy lord Orsett przysiadł się do nich, najwyraźniej zamierzając powiedzieć coś ważnego. W rękę trzymał szklaneczkę brandy.

— Pewnie się zastanawiasz, Yvette, dlaczego kazałem ci tu przyjechać, chociaż wiedziałem, że wolałabyś jechać do Paryża, do swojej francuskiej rodziny.

— Byłam ogromnie zaskoczona, wuju Maksymie. Mówiąc szczerze, całkiem załamana.

— Obawiałem się tego, ale zaraz ci wyjaśnię, dlaczego chciałem cię mieć w Dakarze — patrzył na nią taksująco, jakby oceniał konia wyścigowego, rejestrując każdy szczegół jej powierzchowności: od lśniących kruczonych włosów po drobne, zgrabne stopy. — Mówiąc krótko, chcę cię tu wydać za mąż.

— Za mąż? — głos Yvette był ledwie słyszalny, ale w uszach Keldy zabrzmiał jak rozpaczliwy szloch, który odbijał się echem po komnacie.

— W istocie, za mąż. Pozwól, że ci wyjaśnię, dlaczego.

Rozsiadł się wygodniej. Chyba doskonale wiedział, że obie wpatrują się weń z nadzwyczajną uwagą.

— Mieszkam tu od wielu lat — zaczął — i wielce zainteresowałem się problematyką kolonizacji francuskiej w Senegal, która wygląda tu inaczej niż w innych częściach imperium francuskiego. — Przerwał, jakby spodziewał się reakcji z ich strony, a nie doczekawszy się jej, ciągnął dalej: — Senegal jest najważniejszą kolonią francuską w Afryce Zachodniej i tu właśnie francuska polityka imperialna odnosi największe sukcesy.

— Co to ma wspólnego ze mną? — udało się wykrztusić Yvette.

— Zaraz się dowiesz — chłodno odparł lord Orsett. — Rozmawiałem o francuskich planach kolonialnych z aktualnym gubernatorem, człowiekiem wielkiej inteligencji, oraz z licznymi dygnitarzami z metropolii. Ich zdaniem najistotniejszą sprawą dla przyszłości kolonizacji w Senegal jest stworzenie stabilnej społeczności europejskiej, zarówno w Dakarze, jak i w St. Louis. Spojrzał na Keldę i ciągnął zwracając się do niej.

— Pani wydaje się zainteresowana Afryką Zachodnią, więc sądzę, że będzie pani wiedziała, jakie trudności pociąga za sobą administrowanie krajem, w którym jest niedostatek białych kobiet?

— Chyba... rozumiem, na czym... ogólnie... polega problem — z wahaniem odpowiedziała Kelda. — Ale nie mam pojęcia, o co konkretnie chodzi.

— Aktualna sytuacja jest następująca: Francuzi, którzy tu osiedli, zarówno ci przyjeżdżający na krótko, jak i stali rezydenci, żenią się z Murzynkami albo żyją z nimi w nieformalnych związkach.

Yvette zachnęła się, ale milczała, a lord Orsett ciągnął:

— Tubylcze żony Europejczyków, zwane signarami, uzyskują wyższy status społeczny.

— Zdaje się, że gdzieś o tym czytałam — powiedziała Kelda, widząc, że oczekuje po niej jakiejś reakcji.

— Przedstawiciele administracji kolonialnej albo wojskowi często ułatwiają swoim signarom zakładanie niewielkich przedsiębiorstw, co daje im dodatkowy dochód. Gdy wyjeżdżają do metropolii — przedsiębiorstwo zostaje w rekach tubylczej żony i jej dzieci.

— To chyba sprawiedliwe — mruknęła Kelda. Podtrzymywała konwersację z lordem, bo chciała odwrócić jego uwagę od Yvette, która zbladła śmiertelnie. Tak zaciskała dłonie, że kostki jej palców zbieleły.

— Władze francuskie uznały taki obrót spraw za niepożądany — ciągnął lord Orsett — a ponieważ chcą rozwoju Dakaru jako ważnego portu, liczą na to, że zwiększy się liczba kobiet europejskich, które zdecydują się tu pozostać. Ich obecność wpłynie na stabilizację białej społeczności Senegalu.

— Wydaje mi się, że rozumiem — cicho rzekła Kelda.

— W chwili obecnej liczba białych kobiet w całym Dakarze nie dochodzi do setki. Władze wywierają nacisk na białych przedsiębiorców i pracowników administracji, aby przywozili ze sobą żony z Europy, tak aby one z kolei przekonały następne kobiety do przesiedlenia się tutaj ze swoimi mężami.

Przerwał, ale ponieważ Kelda nie odzywała się, ciągnął dalej:

— Będą tu miały mnóstwo do zrobienia. Sam gubernator postanowił pierwszy dać przykład innym.

Zapadła cisza, którą przerwała Kelda, prawie szeptem pytając:

— Jak... jak on to chce zrobić?

— Gubernator owdowiał wiele lat temu. Teraz ma zamiar ożenić się powtórnie — powiedział lord Orsett, odwrócił się i spojrzał na Yvette. — Wyraziłem zgodę na jego oświadczyzny o twoją rękę, Yvette. Przybędzie tu jutro złożyć ci wyrazy uszanowania.

Yvette wyglądała na sparaliżowaną, ale Kelda zareagowała za nią.

— Gubernator? Ależ to pewnie mężczyzna w podeszłym wieku?!

— Ma jakieś pięćdziesiąt — sześćdziesiąt lat. Ale jest młody duchem, zdrowy i wysportowany. Moja siostrzenica osiągnie wysoką pozycję, a rozgłos towarzyszący temu małżeństwu szerokim echem odbije się we Francji.

— Czy rzeczywiście spodziewa się wuj, że wyjdę za takiego starucha i zakopię się w tej okropnej dziurze? — zapytała Yvette. Była tak wzburzona, że słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

— Będiesz miała lepsze zdanie o Dakarze, kiedy tu pomieszkasz dłużej. A jeśli chodzi o gubernatora, to wiele kobiet z radością przyjęłoby propozycję małżeństwa z takim dostojnikiem.

— To niech się z nimi żeni! — zawołała histerycznie Yvette. — Nie mam najmniejszego zamiaru wyjść za gubernatora ani pozostać w Dakarze i nie uda się wujowi zmusić mnie do tego!

Stali teraz z lordem twarzą w twarz, a ona drżała z tłumionego podniecenia.

— Obawiam się, że się mylisz. Z pewnością uda mi się zmusić cię do posłuszeństwa. Ustanowiono mnie twoim kuratorem i jesteś ode mnie całkowicie uzależniona aż do chwili osiągnięcia pełnoletności.

— Jeżeli sądzi wuj, że uda mu się zmusić mnie do małżeństwa z człowiekiem, którego nawet nie widziałam na oczy i który jest tak stary, że mógłby być moim ojcem, to myli się wuj bardzo. — Wzięła głęboki wdech i dodała: — Miałam zamiar powiedzieć wujowi o tym dopiero jutro, ale niech będzie, powiem teraz! Jestem zaręczona z monsieur Remyem Mendesem i nie wyjdę za nikogo innego.

Głos Yvette brzmiał dźwięcznie, tak jakby wspomnienie Remy'ego dodało jej sił. Krew uderzyła jej do policzków. Buntowniczo mierzyła wzrokiem lorda.

— A któż to taki, ten Remy Mendes? — rzucił pytanie lord Orsett.

— Tak się składa, że jest attache przy gubernatorze. Kiedy go wuj spotka, przekona się, że jest odpowiedniejszym dla mnie kandydatem niż starzec stojący nad grobem.

— O tym, kto jest dla ciebie odpowiedni, decyduję ja. Gdzie go poznałaś? — indagował dalej.

— Przybył tu tym samym statkiem.

— Pokładowy romans! To szybko przechodzi. — W głosie lorda Orsetta zabrzmiała drwina.

Można było tego się spodziewać, pomyślała Kelda.

— Co to, to nie. Myli się wuj bardzo. Kocham Remy'ego z całego serca i on także mnie kocha.

— Czy jesteś przekonana, że na jego uczucia nie ma wpływu twój znaczny majątek?

— No tak, to właśnie jest sposób myślenia wuja! — wyrzuciła z siebie gwałtownie. — Ojciec Remy'ego jest bardzo bogaty, a poza tym jest członkiem izby deputowanych. Jutro Remy przedstawi swoje listy uwierzytelniające, wtedy wuj zobaczy!

— Jeżeli chodzi o mnie, to może nie tracić swojego cennego czasu — powiedział z przekąsem.

— Jak to?

— Mówiąc wprost, nie mam zwyczaju zmieniać planów. Wyjdiesz za gubernatora tak czy owak. Dość już tych bzdur na temat kandydatów do twojej ręki bez grosza przy duszy. Nie pojawialiby się tacy przy tobie, gdyby twoja opiekunka dobrze wywiązała się ze swojego zadania.

— Czy rzeczywiście sądzi wuj, że uda mu się wymusić na mnie ten krok? — W Yvette wzbierała wściekłość.

— Oczywiście, że tak. Sprowadziłem cię tu, aby wydać za mąż, i uczynię to w ciągu najbliższych trzech tygodni. I bądź przekonana, że jeżeli twój Francuzik spróbuje się z tobą porozumieć jutro czy kiedykolwiek indziej, dobiore mu się do skóry tak, że pożałuje.

Yvette straciła panowanie nad sobą.

— Jak śmiesz! Jak śmiesz traktować mnie, obywatelkę francuską, w ten sposób! Po pierwsze nie masz nade mną władzy w tym kraju. Wszyscy mieli rację: jesteś zły i szalony. Jeżeli wydaje ci się, że możesz mi rozkazywać jak jakiejś czarnej posługaczce, to się grubo mylisz. — Zerwała się na równe nogi i zawołała: — Nienawidzę cię, wuju Maksymie. Nienawidzę cię od zawsze. Raczej się zabiję, niż poddam twojej woli!

Wykrzyczawszy ostatnie słowa, odwróciła się i wybiegła z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Kelda słyszała, jak biegła korytarzem. Wstała, aby podążyć za Yvette, gdy lord Orsett, wciąż jeszcze wygodnie rozparty w fotelu, zapytał:

— I cóż pani na to?

Kelda zdała sobie sprawę, że chce ją sprowokować. Zwróciła ku niemu drobną twarzyczkę i spojrzała nań wprost swymi ogromnymi oczami.

— Jeżeli chce pan naprawdę wiedzieć, co myślę, milordzie, to powiem, że pański zamysł jest diaboliczny. To się sprzeciwia naturalnemu porządkowi świata, żeby człowiek, choćby nie wiem jak wysoko postawiony, próbował grać rolę Boga.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w nią, a ona wytrzymała jego spojrzenie. Nagle, bez słowa, wstał, odwrócił się i wyszedł, także pozostawiając otwarte drzwi.

ROZDZIAŁ 4

Kelda szła wolno po schodach trzymając się poręczy. Drżała, a serce tłukło jej się w piersi. Czuli się jak po jakiejś strasznej katastrofie, wstrząśnięta i rozdygotana.

To nie do wiary! Jak lord Orsett mógł zaplanować coś tak potwornego! Zaiste — dobrze mu powiedziała — diabolicznego! I zrobić to takiej uroczej i słodkiej istocie jak Yvette! Co gorsza, on po prostu uznał ją za rzecz, za narzędzie realizacji swych planów, a nie za istotę ludzką. To, co wcześniej opowiadała o nim Yvette, nawet w części nie oddawało jego podłości.

W panice rozmyślała, co począć, co powiedzieć Yvette. Była już na szczycie schodów i skierowała się do sypialni. Jak można było się spodziewać, Yvette leżała z twarzą w poduszcze, zalewając się łzami. Kelda usiadła koło niej. Yvette objęła ją.

— Ratuj mnie, Keldo, ach, ratuj mnie! Wiesz, że wyjdę tylko za Remy'ego! — załkała.

— Tak, wiem. Weź się w garść, musimy coś wymyślić, aby przechytrzyć wuja.

Mówiła to z taką pewnością siebie, że Yvette powstrzymała łzy i spojrzała na nią pytająco.

— Czy myślisz, że naprawdę uda ci się mi pomóc? — wymamrotała żalonym głosem.

— Naturalnie, że ci pomogę — odrzekła z determinacją Kelda. — Musimy być bardzo sprytni. Pamiętajmy, że twój wuj jest potężny.

Yvette wypuściła Keldę z objęć i oparła się na poduszkach.

— Nigdy cię taką nie widziałam.

— Jaka? — spytała Kelda niezbyt przytomnie.

— Taką silną i odważną. Uważałam cię za słabą, bo pozwalałaś pomiatać sobą pani Gladwin.

— Teraz nie walczę o siebie, ale o ciebie. A to zmienia postać rzeczy.

— I sądzisz, że będziesz w stanie mi pomóc? — W tym pytaniu kryła się prawdziwa rozpacz i Kelda o tym wiedziała.

— Nie muszę ci chyba mówić, że to nie będzie łatwe — odparła. — Ale nie zapominaj o Remy. Przede wszystkim musimy się z nim skontaktować.

— Ale jak? Jak? Wiesz, że wuj Maksym gotów go znieważyć. Nie pozwoli mu do mnie napisać, a cóż dopiero zobaczyć się ze mną.

— Już to przemyślałam. Nie wierzę, żeby Remy potulnie zgodził się ciebie oddać. Musisz być nie tylko odważna, ale także inteligentna i chytra.

— Co mam robić?

Kelda milczała chwilę, wpatrując się nie widzącym wzrokiem w rzeźby u wezglowia łóżka.

Oczami wyobraźni widziała rozpromienione twarze Remy'ego i Yvette, patrzących sobie w oczy. To była prawdziwa miłość, płynąca z serca i duszy. Muszę uratować ich oboje — pomyślała. Poczuli, jak wzbiera w niej zimna wściekłość na lorda Or-setta.

— Powiedz, o czym myślisz? — Yvette zadała to pytanie przestraszonym tonem.

Kelda odrzekła dopiero po chwili:

— Pomyślałam sobie, że jeśli Remy chce się z tobą ożenić, musi cię stąd wyrwać, i to szybko!

— Czy mu się to uda?

— Musi się udać. Inaczej wuj wyda cię siłą za gubernatora.

Yvette jęknęła z przerażenia.

— Jeżeli zostanę zmuszona do małżeństwa z kim innym niż Remy, zabiję się. Na myśl o ślubie z tym starcem robi mi się mdło.

— Rozumiem cię — łagodnie powiedziała Kelda. — Ale musimy wziąć pod uwagę, że znajdujesz się pod nadzorem swojego prawnego opiekuna, a Remy jest podwładnym gubernatora.

— To tylko umowa na czas określony — wtrąciła Yvette.

— Wiem o tym. Ale pamiętaj, że jesteśmy w Dakarze, i gubernator, który ma tu władzę absolutną, może go wtrącić do więzienia lub wydalić do Francji, a my nic na to nie poradzimy. — Na widok przerażenia w oczach Yvette szybko dodała: — Dlatego przede wszystkim musimy zwieść twojego wuja. Trzeba, żeby uwierzył, że mu się podporządkujesz.

— Mam zrobić, co mi każe?! — Yvette podniosła głos prawie do krzyku.

— Musisz udawać, że zgadzasz się z jego wolą. Jeżeli domyśli się, że masz zamiar stanąć okoniem i walczyć, będzie cię uważnie śledził i pogrzebiemy szansę ucieczki.

Yvette zdała sobie sprawę, że plan Keldy jest rozsądny. Nie odrywając oczu od niej powiedziała:

— Mów dalej!

— Musimy szybko ułożyć plan działania. Po pierwsze, idź do wuja i przeproś go za swój wybuch. Powiedz, że byłaś zaskoczona, ale teraz gotowa jesteś zastanowić się nad jego propozycją. A jutro uprzejmie przyjmiesz gubernatora.

— Myślisz, że wuj Maksym da się nabrać?

— To zależy od tego, jak dobrze zagrasz swoją rolę. Nie wolno nam robić nic, co by źle nastawiło gubernatora do Remy'ego.

— Nie, jasne, że nie.

— Nie jestem pewna, ale zdaje mi się, że Remy już się dowiedział od innych attache albo sekretarzy, co się święci. Na pewno poznał zamiary gubernatora i twojego wuja.

— Co pomyśli Remy, gdy się dowie, że mnie wydają za innego?

Pytanie to płynęło z głębi serca. Kelda odpowiedziała stanowczo:

— Jestem przekonana, że będzie tak samo wstrząśnięty jak ty, ale równocześnie zdecydowany do tego nie dopuścić.

— Kocha mnie! Jestem tego pewna! — zawołała Yvette.

— I ja jestem tego więcej niż pewna. Na pewno skontaktuje się jakoś z nami, niezależnie od trudności.

— Na przeszkodzie stoi wuj Maksym.

— Remy wie o tym i spróbuje pokonać przeszkody.

Yvette otarła resztki łez.

— Co ja mam robić? Powiedz mi — błagała. — Pokieruj mną, żebym nie popełniła żadnego błędu.

Następnego ranka Yvette schodziła u boku Keldy ze schodów zmieniona nie do poznania: blada, pokonana i pokorna.

Od służby dowiedziały się, że śniadanie będzie podane na tarasie. Stół był już nakryty. Rozpięto nad nim daszek z płótna w pasy. Lord Orsett podniósł się na przywitanie.

Miał na sobie bryczesy, na szyi zgrabnie zawiązaną apaszkę. Biały lniany kołnierz był odpięty i rzucony na oparcie krzesła. Wyglądał jak człowiek silny, męski i — co wyraźnie odczuwała Kelda — przyzwyczajony do tego, aby mu ulegano.

Jego wzrok spoczywał na zbliżającej się doń Yvette. Gdy podeszła, odezwał się:

— Dzień dobry, Yvette. Jak się spało?

— Dobrze, dziękuję, wuju Maksymie. Chciałabym cię przeprosić za wczorajsze zajście. Zaskoczył mnie wuj całkowicie, przeraziłam się. Mam nadzieję, że wuj mi wybaczy.

Kelda zwróciła uwagę, że zarówno słowa Yvette, jak i jej pojednawczy ton były dla lorda niespodzianką. Uniósł brwi i powiedział:

— Być może za szybko z tym wyskoczyłem. Skoro ty mnie przeprosiłaś, mam nadzieję, że przyjmiesz i moje przeprosiny.

— Rozumie się, wuju Maksymie. Dziś jest zbyt piękny dzień, aby się kłócić.

— To mi się podoba. Byłbym zachwycony, gdybyście jutro wraz z panną Lawrence zechciały udać się ze mną na konną przejażdżkę. Wczesnym rankiem jest najprzyjemniej, nie ma jeszcze upału.

— Cóż za wspaniały pomysł! — wtrąciła Kelda. — Bardzo chciałabym zobaczyć dziewicze tereny z dala od miasta, które podobno są przepiękne!

— Istotnie — potwierdził lord Orsett.

Gdy usiedli, spytał, jakby sobie coś przypomniawszy:

— A czy pani, panno Lawrence, dobrze się spało?

— Bardzo dobrze. Byłyśmy obie z Yvette bardzo zmęczone po długiej morskiej podróży. Muszę przyznać, że wolę oglądać fale z dala niż czuć je pod sobą.

Lord Orsett uśmiechnął się.

— Chce pani powiedzieć, że cierpiała na morską chorobę?

— Szczęśliwie żadna z nas nie chorowała. Ale w Zatoce Biskajskiej było naprawdę nieprzyjemnie.

— Zgadza się, też jej nie lubię.

Służba przyniosła śniadanie. Yvette usilnie starała się coś zjeść.

Kiedy służący oddalili się, lord Orsett zaczął:

— Otrzymałem wiadomość z pałacu, że pan gubernator zaszczyca nas wizytą w południe. Mam nadzieję, że przywitasz go wraz ze mną.

— Oczywiście, wujku Maksymie. — Głos Yvette brzmiał naturalnie. Dodała: — Wujku Maksymie, nie chciałabym się czuć zakłopotana i wolałabym, żeby przy pierwszej wizycie nie poruszać tematów osobistych.

Nie chcąc przeciągać struny, lord Orsett zapewnił ją szybko:

— Oczywiście, rozumiem. To będzie zwykła przyjacielska wizyta. Będziecie mogli poznać się z Jego Ekscelencją. To bardzo interesujący i wybitnie inteligentny człowiek. Jestem pewien, że znajdziecie wiele wspólnych upodobań.

— Czy to paryżanin?

— Nie z urodzenia, ale mieszkał tam przez parę lat. Zanim przybył do Senegalu, piastował wysokie stanowiska w paru ministerstwach.

— Z niecierpliwością go oczekuję.

Grała tak dobrze, że Kelda miała ochotę bić brawo.

Wiele czasu, bo prawie całą ubiegłą noc, zabrało im przygotowanie szczegółowego planu działania. Yvette pomagała teraz wrodzona inteligencja, ale i uskrzydlała miłość do Remy'ego. Robiła co mogła, żeby plan Keldy się powiódł.

Rozmawiali swobodnie, a Kelda upewniała się, że lord Orsett jest mile zaskoczony zmianą, jaka zaszła w Yvette, i wygląda na całkowicie przekonanego. Uwierzył, że wczorajszy wybuch był rezultatem wstrząsu i zaskoczenia, któremu sam był do pewnego stopnia winien.

Ubiegłej nocy Kelda wyraziła przekonanie, że po śmierci żony lord Orsett miał niewiele kontaktów z kobietami i powinien bez trudu dać się zwieść ich grze.

— A co to za kobietę widział u niego mój kuzyn, kiedy bawił u niego z wizytą? — miała wątpliwości Yvette.

— Nie podejrzewam, żeby było to coś poważnego — odparła szybko Kelda.

— Czy to aby nie jedna z tych kobiet, o których mówił?

— Nie mam pojęcia — odparła Kelda — ale nie ulega wątpliwości, że teraz jej tutaj nie ma. Jestem pewna, że jeśli wyrazisz skruchę i będziesz się starała mu przypodobać, zupełnie uśpij jego czujność.

Sytuacja rozwijała się teraz zgodnie z tymi przewidywaniami. Yvette zdarzały się co prawda drobne wpadki, które komuś bardziej obeznanemu z kobiecą naturą mogły nasunąć podejrzenia, ale lord Orsett był bez wątpienia całkowicie wyprowadzony w pole.

— Na co miałybyście teraz ochotę? — zapytał, kiedy było już po śniadaniu.

Yvette spojrzała pytająco na Keldę, ale Keldzie już przyszedł do głowy chyba niezły pomysł:

— Chciałybyśmy, jeśli to możliwe, przejechać się po mieście. Mamy to i owo do kupienia. W zasadzie nic pilnego, ale gdyby to nie sprawiło kłopotu...

Przez chwilę wydało jej się, że lord Orsett spojrzał na nią spod oka. Po chwili powiedział:

— Możemy pojechać razem. Wypróbujemy tę nową kariolkę, którą właśnie przysłano mi z Francji. Mówiono mi, że to ostatni krzyk mody. Młodzież paryska jeździ nimi na przejażdżki po Lasku Bulońskim.

Yvette zeszytniała na wzmiankę o Paryżu, ale Kelda powiedziała prędko:

— To wspaniale! Tak wiele chciałabym zwiedzić w tym pięknym kraju.

Wydawało jej się, że lord Orsett spojrzał na nią z uznaniem. Yvette, wiedząc, że wypada przytaknąć, powiedziała:

— Ja też się cieszę, wuju Maksymie. Na pewno masz wspaniałe konie. Mama mówiła, że byłeś miłośnikiem koni i jeździectwa.

— To prawda, Yvette. Udało mi się stworzyć piękną stajnię, przekonacie się na jutrzejszej konnej wyprawie. Macie chyba stroje do konnej jazdy?

— Ależ tak, oczywiście — mówiąc to Kelda zastanawiała się, czy w bagażach Yvette znajdują się dwa komplety.

Poszły na górę, aby przygotować się do przejażdżki. Kelda objęła Yvette i wyszeptała jej do ucha:

— Byłaś bezkonkurencyjna!

— Musiałam się do niego mizdrzyć — rzekła kwaśno Yvette.

— Tak, wiem, ja też. Ale zobaczysz, teraz uda nam się wyrwać na chwilę z domu i może Remy będzie miał okazję, żeby się z nami skontaktować.

— A co, jeśli zrezygnuje? — westchnęła Yvette.

— Na pewno nie. Bardziej obawiam się z jego strony czegoś szalonego. Może na przykład wyzwać twojego wuja na pojedynek!

Yvette aż rozbłysły oczy na samą myśl o tym, ale powiedziała:

— Nie zapominaj, że Remy jest członkiem korpusu dyplomatycznego i doskonale zdaje sobie sprawę, że nie wolno mu spowodować żadnego incydentu.

W pośpiechu dokończyły toalety: włożyły kapelusze, znakomicie dopasowane do sukien, Yvette pożyczyła Keldzie parasolkę przeciwsłoneczną. Lord Orsett oczekiwał na nie w hallu na dole.

Nowa kariolka, zaprzężona w parę koni, była dostatecznie obszerna, aby wygodnie pomieścić całą trójkę. Z tyłu miała dodatkowe miejsce dla hajduka. Lord Orsett powoził z wielką wprawą.

Wyjechali z dziedzińca przez wrota z kutego żelaza. Yvette rozglądała się wokół z nadzieją, że może uda jej się gdzieś spostrzec ukochanego. Zjeżdżali ze wzniesienia. Wzdłuż brzegu ciągnęły się złote plaże, kępy kwitnących krzewów i palm kokosowych. Widok był taki, że Kelda nie mogła powstrzymać okrzyków zachwytu. Równowazyło to nieco obojętność Yvette na uroki Dakaru.

W mieście było zaledwie kilka dużych gmachów użyteczności publicznej, ale budowało się sporo nowych.

Place i ulice świadczyły o starannym zamyśle urbanistycznym i zapowiadały się pięknie. Tu też pełno było kwiatów, drzew i krzewów, tworzących ogromne barwne plamy na tle olśniewającej bieli ścian.

Keldę interesowało wszystko. Lord Orsett służył jej objaśnieniami. Wskazał Pałac Sprawiedliwości, a potem mówił o projektach rozwoju miasta.

Mijali sprzedawczynie kwiatów, które unosiły ku nim całe ich naręcza albo umiejętnie balansowały bukietami ustawionymi na turbanach.

— Cóż za uroczy zwyczaj! — zawołała Kelda.

— To jest specjalność Dakaru — wyjaśnił lord Orsett. — Ciekaw jestem, która wpadła na to pierwsza.

— Powinno jej się postawić pomnik.

— Jest tu wielu mężczyzn, którzy bardziej zasługują na pamięć u potomności.

— Ale chyba nawet tu, w Afryce, doceniacie rolę kobiet — powiedziała z wyzwaniem w głosie.

Przez chwilę wydawało jej się, że ujrzała cień uśmiechu w kąciku jego ust, jakby zauważył, że prowokuje go celowo.

— Uważam, że kobiety są ważne wszędzie na świecie.

To był unik. Wiedziała, że zmusiła go do myślenia i cieszyła się z tego. Punkt na jej korzyść.

Kiedy wrócili, Kelda podziękowała gorąco za przejażdżkę, a Yvette przyłączyła się do niej mówiąc:

— To było wielce zajmujące, wuju Maksymie, i liczę na to, że jutro znów będziemy mogli gdzieś się wybrać.

— Oczywiście, że tak, jeśli tylko nie będziecie zbyt zmęczone po konnej przejażdżce rano — odrzekł.

Weszli frontowymi schodami do hallu. Lord wyciągnął z kieszeni kamizelki złoty zegarek, spojrział nań i rzekł:

— Możecie się teraz odświeżyć i przebrać przed wizytą jego ekscelencji.

— Oczywiście, wuju Maksymie — zgodziła się Yvette. — Gdzie cię znajdziemy, gdy zejdziemy na dół?

— Służba wskaże wam drogę — odrzekł lord Orsett i oddalił się w kierunku swojego gabinetu.

Yvette i Kelda weszły na górę w milczeniu. Dopiero w pokoju Yvette zapytała w panice:

— Co mam powiedzieć gubernatorowi? Co będzie, jeśli powiedział Remy'emu, że zgodziłam się go poślubić?

— Nie sądzę, żeby gubernator tak prosto z mostu poprosił cię o rękę przy pierwszym spotkaniu. Może się mylę — to ty znasz lepiej Francuzów — ale myślę, że byłoby to prostackie i całkowicie w złym tonie.

— Masz rację. Na pewno ograniczy się do komplementów i aluzji, a ja będę udawała, że ich nie rozumiem.

Kelda zastanowiła się.

— Postaraj się wyglądać młodo i niewinnie, nawet infantylnie. To będzie zgodne z jego wyobrażeniami o osobie w twoim wieku. I nie dopuszczaj do sam na sam.

— Ach, co to, to nie. Nie zostawiaj mnie samej nawet na moment. Obiecuj mi to.

— Obiecuję. Ale jestem pewna, że jego ekscelencja będzie zachowywał się bardzo comme il faut, nie musisz się obawiać.

— Ach, gdybym tylko mogła zobaczyć się z Remy — jęknęła Yvette. — Skąd mam wiedzieć, co on teraz myśli albo czuje? A jeśli on sądzi, że poddałam się woli wuja Maksyma? Co wtedy?

— Nie uwierzy w to nigdy. Weź się w garść, Yvette. Musimy mieć się na baczności, jeżeli w tej paskudnej sytuacji twoja ucieczka ma się udać.

— Ach, Keldo! Keldo! Cóż bym bez ciebie poczęła? Dzięki Bogu, że jesteś tu ze mną.

Obejmując ją, Kelda pomyślała, że istotnie to zrządzenie opatrności. Była w pełni świadoma, jak trudnego zadania się podjęła, próbując ocalić Yvette. Dziś rano na przejażdżce z lordem Orsettem pomyślała, że jest on jeszcze straszniejszy, niż im się zdawało. Było w nim coś, co napawało lękiem i zmuszało do przekonania, że ma naturę zdobywcy, że zawsze stawia na swoim, że raczej zginie, niż się podda. Kelda nie miała zamiaru dzielić się swoimi spostrzeżeniami z Yvette.

Zanim zeszły, przebrały się w eleganckie stroje prosto z Paryża. Yvette włożyła suknię z jasnoperłowej koronki na podszewce z szyfonu, swą szczupłą talię przewiązała koralową szarfą, takiegoż koloru aksamitkę miała na szyi. Piękny medalion wysadzany brylantami, który niegdyś należał do jej matki, ozdobił jej dekolt. Wyglądała uroczo i elegancko.

Kelda, za namową Yvette, ubrała się równie szykownie. Miała na sobie jedwabną suknię obszytą koronkami, podkreślającą błękit jej oczu i jasność cery. Kelda zrazu nie chciała jej włożyć.

— Powinnam raczej usunąć się na drugi plan — protestowała.

— Och, nie. Musisz zająć wuja Maksyma, skupić na sobie jego uwagę. Inaczej będzie obserwował mnie jak jastrząb, a ja muszę myśleć o Remy i szukać go.

— Nie, nie wolno ci nic pokazać po sobie.

— Nie uda mi się. Mam wrażenie, że nie widziałam Remy'ego całe wieki — Yvette westchnęła.

Lokaj zaprowadził je do salonu recepcyjnego, jeszcze bardziej reprezentacyjnego niż ten, który już znały. Był zarezerwowany na największe okazje. Kelda podziwiała wystrój

wnętrza. Cudownie skomponowane bukiety kwiatów wypełniały salon oszałamiającą wonią.

Służący otworzył drzwi i lord Orsett energicznie przebiegł przez hall.

— Dokąd on poszedł? — zdziwiła się Yvette.

— Na pewno pragnie powitać dostojnego gościa przed głównym wejściem.

— Ach, Keldo, drzę cała. Wiem, że to głupie, ale nie mogę pozbyć się obaw. Boję się, że nie uda ci się mnie uratować i zgodnie z wolą wuja Maksyma będę musiała wyjść za tego koszmarnego starca.

— Nie wolno ci tak myśleć. Musisz wierzyć w zwycięstwo. Zaufaj swojej miłości. Pomódl się w sercu, a poczujesz się lepiej i nabierzesz wiary we własne siły.

— Modlę się ciągle do świętego Tadeusza Judy, patrona spraw beznadziejnych.

— To nie jest sprawa beznadziejna! — prawie wybuchnęła Kelda. — Ale módl się dalej, Yvette. Wszyscy święci muszą być po naszej stronie!

Usłyszały głosy za drzwiami i po chwili wkroczył lord Orsett w towarzystwie gubernatora. Gubernator wyglądał tak, jak go sobie Kelda wyobrażała: mały, chudy, żylasty, o inteligentnej twarzy pooranej głęboko zmarszczkami — skutek wielu lat spędzonych w tropikach. Rzednące włosy były już prawie całkiem siwe.

Dokonano prezentacji. W toku rozmowy Kelda przekonała się, że gubernator ma nienaganne maniere i niewątpliwy urok osobisty. Był jednak stary, co do tego nie było wątpliwości. Stary i — zdaniem Yvette — straszny. Yvette jednak zachowywała się absolutnie wzorowo. Nikt, nawet lord Orsett, nie dopatrzyłby się w niej cienia fałszu. Mówiła niewiele, za to słuchała, szeroko otwierając oczy. Z pewną nieśmiałością przyjmowała komplementy gubernatora, tak jakby spotykało ją to po raz pierwszy w życiu. Mówiła miłe rzeczy o Dakarze, co podobało się zarówno jemu, jak i lordowi Orsettowi.

Spektakl godzin był, zdaniem Keldy, desek Komedii Francuskiej. Tylko ona jedna widziała, jak Yvette drży z niepokoju, jak zaciska palce na podolku, aż jej bieleją kostki, jak niekiedy głos jej się lekko załamuje, tak jakby prawdziwe emocje chciały wydostać się na powierzchnię.

Gubernator nie zabawił długo. Przy pożegnaniu trzymał rękę Yvette nieco dłużej, niż to jest w zwyczaju, i rzekł:

— Przyjemnie było poznać panią, mademoiselle de Villon. Mam nadzieję, że będę miał zaszczyt gościć panią w pałacu, jako że lord obiecał przywieźć dziś panią i jej przyjaciółkę do mnie na kolację. Z niecierpliwością będę oczekiwał spotkania.

— Ja również — odrzekła. Oczy jej zabłyśły, co gubernator mylnie przypisywał sobie. Kelda wiedziała, że Yvette dostrzegła w zaproszeniu okazję do spotkania się z Remym.

Lord Orsett odprowadził dostojnego gościa do karety. Kiedy wrócił, stał chwilę, przypatrując się badawczo i zarazem cynicznie Yvette, jak gdyby zastanawiał się, czy to możliwe, że wszystko poszło tak gładko.

— Czyżbyś naprawdę tak cieszyła się na kolację u gubernatora? — zapytał.

— Jak najbardziej. Słyszałam, że pałac gubernatora jest imponujący.

— Kto ci to mówił? — padło podstępne pytanie. Yvette jednak przejrzała zamiary przeciwnika i z niewinną miną zwróciła się do Keldy:

— Nie pamiętasz, moja droga, któż to taki opowiadał nam o pałacu? Czy kapitan, czy też ta miła para, która się nami opiekowała w podróży?

Kelda nie dała się zaskoczyć.

— To kapitan. Był kiedyś na przyjęciu u jego ekscelencji i dobrze pamiętał to wyróżnienie.

Podejrzliwość znikła z oczu lorda Orsetta.

— Po obiedzie będziecie pewnie chciały trochę odpocząć, żeby jak najlepiej wyglądać wieczorem. Natomiast jeżeli liczysz na to, Yvette, że uda ci się odnowić znajomość z tym młodym dżentelmenem, którego poznałaś na statku, to muszę cię rozczarować. Uznałem za stosowne wykreślić jego nazwisko z listy zaproszonych.

Na moment zapadła złowroga cisza. Obawiając się jakiegoś wybuchu Yvette, Kelda zrobiła krok i potknęła się celowo o mały stolik obok fotela. Upadła z hałasem, na dodatek zrzucając popielniczkę i kilka bibelotów.

— Ach, jakaż ze mnie niezgara! — wykrzyknęła. — Nie zauważyłam go. Mam nadzieję, że nic się nie stłukło.

— Na szczęście wszystko całe — odrzekła Yvette, zbierając z ziemi cenne drobiazgi i pieczołowicie ustawiając je na stoliku.

Chwila niebezpieczeństwa minęła i Kelda odetchnęła z ulgą.

Za to po obiedzie, kiedy znalazły się w swoich pokojach, Yvette pozwoliła sobie na wybuch wściekłości.

— Jak on śmie zabraniać Remy'emu wstępu na przyjęcie! Co on powiedział gubernatorowi?! Jak to uzasadnił?! Na pewno zrujnował Remy'emu karierę! — krzyczała.

— Jeszcze lepiej, że go nie będzie — uspokajała ją Kelda.

— Dlaczego tak uważasz? — prawie warknęła Yvette.

— Bo wpatrywałabyś się w niego jak w obraz i cała nasza misterna intryga wzięłaby w łeb. Nie nabrałabyś już więcej ani wuja, ani gubernatora.

Yvette milczała przez chwilę.

— No tak, rozumiem.

— Za to będziecie oboje pod tym samym dachem i założę się, że już on będzie umiał wykorzystać tę okazję. Porozumie się z tobą jakimś sposobem. Miej się na baczności — to może być szeptem rzucone słówko, karteczka wciśnięta w dłoń. Nie wiem jak, ale dam głowę, że Remy dobrze wykorzysta fakt twojej wizyty w pałacu.

— Obyś miała rację — wymamrotała Yvette.

Z jej oczu biło takie cierpienie, że Kelda, która nie mogła jej pomóc, zaczęła z mściwością myśleć o lordzie. Miała ochotę zranić go tak mocno, jak on ranił swoją siostrzenicę.

Zaczęły się przygotowania do wyjścia. Yvette wybrała suknie, które — zdaniem Keldy — bardziej byłyby na miejscu na londyńskim balu niż w „najczarniejszej Afryce”, jak mówiła Yvette.

Lord Orsett wystąpił we fraku, w którym było mu bardzo do twarzy. Pojechali kareta.

Pałac gubernatorski, tak jak to opowiadał Remy — był imponujący. Olbrzymi gmach, znacznie bardziej afrykański w stylu niż dom lorda Orsetta, odznaczał się szlachetnością linii. Sylwetki wartowników w krótkich czerwonych tunikach i fezach potęgowały wrażenie przepychu.

Zaproszono jeszcze tylko sześciu gości, samych mężczyzn. Byli to szefowie resortów administracji kolonialnej. Cała dziesiątka usiadła w wielkiej reprezentacyjnej jadalni. Kolacja była popisem kuchni francuskiej w najlepszym wydaniu. Kelda dowiedziała się, że szef kuchni przyjechał właśnie z Paryża i szkoli miejscowych kucharzy, aby mogli przejąć pałeczkę, gdy on sam powróci do stolicy.

Yvette i Keldę jako gości honorowych usadzono obok gubernatora, lord Orsett, na przeciwnym końcu stołu, za towarzysza miał ministra sprawiedliwości.

Kelda obserwowała go i stwierdziła, że nic nie uchodzi jego uwagi. Posyłała Yvette ostrzegawcze spojrzenia, gdy wydawało jej się, że ta rozgląda się wokół za mało dyskretnie, jakby chciała wypatrzeć ukochanego skulonego gdzieś w kącie albo zagląającego przez okno.

Kelda starała się odwrócić uwagę gubernatora od Yvette, a nie chcąc, aby dostrzegł jej napięcie, wyciągała go na opowieści o Senegal, co okazało się nietrudne, bo był to człowiek całkowicie poświęcony krajowi i jego rozwojowi. Opowiadał mnóstwo ciekawych rzeczy. Kolacja dobiegała końca, a Kelda była pewna, że nawet nie zauważył milczenia Yvette.

Zgodnie z obyczajami francuskimi, po skończonym posiłku damy nie wyszły do oddzielnego pokoju. Całe towarzystwo znalazło się w tym samym przestronnym salonie, w którym ich witano. Kelda zapomniała o tym zwyczaju, chociaż poniewczasie uświadomiła sobie, że wspominała jej kiedyś o nim matka. Była rozczarowana. Liczyła na to, że w czasie kiedy mężczyźni będą palić po kolacji, Remy mógłby się porozumieć z ukochaną. Teraz nie było o tym mowy. Z ulgą przyjęły propozycję lorda Orsetta, aby wracać już do domu.

— To był niezwykle miły wieczór — powiedział lord do gubernatora. — Proszę nie zapominać, że ekscelencja obiecał być na kolacji u nas jutro wieczorem. Będziemy pana oczekiwać.

— Ja także czekam z niecierpliwością na jutrzejszy wieczór — odpowiedział gubernator.

Mówiąc to spojrzał na Yvette, a jej zadrzało serce. Stało się jasne, że jutro gubernator oświadczy się o jej rękę.

Kiedy jeden ze służących okrywał ramiona Keldy lekkim szalem, poczuła, że coś wsuwa jej w dłoń. Zaciśnęła palce, a po chwili włożyła to coś do atlasowej torebki, którą dostała od Yvette. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie znajdą się same w swoich pokojach.

— Konie będą oczekiwać jutro o siódmej rano przed frontowym wejściem — rzekł lord Orsett, gdy wreszcie przybyli do domu. — Trochę później niż zwykle, ale nie chcę, żeby pierwsza przejażdżka trwała zbyt długo. Nie rozruszajcie się jeszcze po długiej morskiej podróży i bolałyby was mięśnie.

Keldzie wydawało się, że miał zamiar dodać: „a chciałbym, żebyście były w dobrej formie wieczorem, kiedy przybędzie z oświadczeniami gubernator”. Ale nie powiedział nic więcej.

Yvette odpowiedziała grzecznie:

— Z przyjemnością znów pojeżdżę konno. Będzie wuj mógł pokazać nam okolice, które, zdaje się, są znacznie ciekawsze, niż początkowo przypuszczałam.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł lord i powiedział im dobranoc.

Ruszyły po schodach, a Kelda widziała, w jakiej depresji pogrążona jest Yvette. Liczyła przecież na to, że uda jej się zobaczyć z Remym wbrew przeciwnościom, ale — jak sądziła — nic takiego się nie stało. Odjechały, a on nie dał znaku życia.

Ale ledwie znalazły się w swoich pokojach, a drzwi zamknęły się za pokojówkami, Kelda weszła do sypialni Yvette z atlasową torebką w dłoniach. Yvette leżała na wznak z wyrazem rozpacz na twarzy.

— Mam coś dla ciebie, zobacz! — Kelda wyciągnęła przed siebie torebkę.

Przez chwilę Yvette patrzyła, nic nie rozumiejąc. Nagle krzyknęła:

— Czyżby coś od...

— Otwórz i sama zobacz.

— Ach, Keldo, już myślałam, że o mnie zapomniał!

— Zobaczymy, co napisał, czy może wolisz zrobić to w samotności?

— Ależ nie, Keldo, nie mam przed tobą żadnych tajemnic!

Sztywnymi z emocji palcami Yvette otworzyła torebkę i wyjęła kartkę złożoną we czworo, którą Rémy pokrył drobnym maczkiem.

Kelda czekała, aż przyjaciółka doczyta do końca. Nagle Yvette zawołała drżącym głosem:

— On mnie kocha! Tylko to się liczy!

— Jest tam coś jeszcze?

— Pisze, że musimy uciekać we dwoje. Słyszał od swoich kolegów o planach gubernatora i wuja Maksyma. Jest wstrząśnięty, ale pisze, że mnie stąd wyrwie lub zginie! — Yvette westchnęła. — Czy możesz wyobrazić sobie cudowniej szego mężczyznę?!

— Co proponuje? — dopytywała się Kelda.

— Pisze, że ma plan, i że powiadomi mnie o nim jutro lub pojutrze. Pisze, że wiadomość będzie ukryta w kwiatach, które otrzymam.

— Czy pisze, jak i dokąd macie uciec? Yvette doczytała wreszcie list do końca z wyrazem urzeczenia na twarzy.

— Pisze, że mnie kocha, że jestem jego, że zabije każdego, kto będzie próbował mnie mu odebrać. Ach, Keldo, on mnie kocha, i ja go Kocham. Moje modlitwy zostaną wysłuchane, będę jego żoną!

Rozmawiały jeszcze długo w noc. Przeczytawszy list chyba z tuzin razy, Yvette wręczyła go Keldzie, która patrząc na pismo Rémy'ego domyśliła się, jak bardzo jest wzburzony. Ale równocześnie, jak mężczyzna, nie zdradzał swoich lęków, zwłaszcza przed Yvette. Starał się ją pocieszyć, wesprzeć, wzbudzić w niej wiarę, że wszystko dobrze się zakończy pomimo trudności, jakie ich czekają po drodze.

— Dlaczego nie pomyślałam, żeby samej przesłać mu list?! — spytała Yvette ze złością.

— Bo to byłoby bardzo niebezpieczne, a przez to głupie. Nie wiemy, komu ze służby można zaufać, a komu nie. Gdyby taki list dostał się w ręce gubernatora lub twojego wuja, przypilnowaliby nas tak, że nie miałybyśmy już więcej żadnych szans.

— Chyba masz rację. Ale co będzie, jeżeli Rémy pomyśli, że już go nie Kocham?

— Jestem przekonana, że ufa ci tak, jak ty jemu. I wydaje mi się, że możemy mu śmiało zaufać. Weźmie na siebie cały wysiłek związany z zaplanowaniem ucieczki. To bardzo pocieszające.

— On jest wspaniały — po raz setny powtórzyła Yvette.

Kelda odczuwała wielką ulgę, większą niż Yvette. Brzemie odpowiedzialności, jakie wzięła na siebie, namawiając Yvette do podjęcia gry, przytłaczało ją. Teraz część przynajmniej tej odpowiedzialności przejmie Rémy, człowiek, do którego miały zaufanie i który ma więcej od nich doświadczenia. Była przekonana, że im się powiedzie, chociaż na razie wszystko się sprzysięgło przeciwko nim.

Nie mogła zasnąć, zastanawiając się, jak Rémy wyciągnie Yvette z pałacu lorda Orsetta i jak uda im się opuścić Dakar i w ogóle Senegal, nie wpadając w ręce żołnierzy gubernatora. Łamigłówa z pozoru nie do rozwiązania. Kiedy w końcu zasnęła, męczyły

ją koszmary, w których ona i Yvette były ścigane przez tajemnicze postacie w maskach podobnych do tych, które wisiały na ścianach domu lorda Orsetta.

*

Punktualnie o umówionej godzinie były gotowe do przejażdżki. Pokłusowali daleko poza teren posiadłości, na piaszczyste bezdroża.

Kelda po raz pierwszy widziała dziwne, okrągłe, kryte strzechą lepianki krajowców. Podziwiała baobaby, bezlistne przez okrągły rok, o potężnych pniach i dziwacznie powykręcanych konarach. Miała wrażenie, że to zakłete w bezruchu ofiary jakiegoś okrutnego kataklizmu. Większe ich skupienia napawały Keldę lękiem.

Były też inne drzewa, znacznie piękniejsze: smukłe palmy kokosowe, bambusy i drzewa rodzące owoce: pomarańcze, cytryny, papaje, awokado i guawy. Wśród nich przemykały gazy, antylopy i małpy, które pierzchały na ich widok. Przejeżdżając w pobliżu rzeki, spostrzegły potężne cielska hipopotamów.

Wszystko to podobało jej się bardzo, a kiedy wrócili do domu, przekonała się, że jej entuzjazm bardzo przypadł do gustu gospodarzowi.

— Jak ci się podoba mój kraj? — zapytał lord Yvette, która dotąd nie odezwała się ani słowem.

— Dlaczego mówisz, wuju, „mój kraj”? Jesteś przecież Anglikiem, wuju Maksymie.

— To moja przybrana ojczyzna. Im więcej dowiaduję się o Afryce, tym bardziej zdaję sobie sprawę, jak wiele jeszcze chciałbym się dowiedzieć o tym lądzie, i tym bardziej mnie on pociąga.

— Myśli wuj zostać tu do końca życia?

— Zapewne. Trzeba jeszcze wiele lat pracy na moje dzieło.

— Pewnie... — zaczęła patrząc z ukosa, a ton jej głosu zwiastował, że zamierza go podrażnić

— ...tak zależy wujowi na wzroście liczby białej ludności, że ożeni się wuj...

Zuchwałość przyjaciółki przestraszyła Keldę. Yvette nabrała odwagi po liście od Remy'ego. Jechali truchtem, lord w środku, między dziewczętami. Po dłuższej chwili milczenia powiedział:

— Tak, przychodziło mi to do głowy. Ale nie byłem od tak dawna w Anglii, że już chyba za późno na wprowadzenie tego w życie.

Mówiąc to, spojrzął na Keldę, a ona odpowiedziała mu spojrzeniem.

Zaparło jej dech w piersiach. Łapała ciężko powietrze. To nie mogła być prawda! Niemożliwe, żeby miał na myśli to, o czym i ona pomyślała

— mówiła sobie, jadąc dalej.

A jednak. Trafnie odgadła, co mu przyszło do głowy w tej właśnie chwili.

ROZDZIAŁ 5

Gubernator nieco ostentacyjnie prowadził Yvette w najdalszy kąt długiego salonu. Kelda domyśliła się, że nadeszła chwila, której się obie spodziewały.

Tymczasem lord Orsett zabawiał ją rozmową jak gdyby nigdy nic. Musiała być czujna i odpowiadać inteligentnie.

Czuła się pewnie. Odwagi dodał jej fakt, że Remy'emu udało się przekazać wiadomość w bardzo sprytny i odważny sposób. Kiedy gubernator przybył do pałacu lorda Orsetta, gospodarz przywitał go u frontowego wejścia i wprowadził do salonu. Gubernator

dzierzył przed sobą wspaniały bukiet orchidei, który mógł wprawić w zachwyt każdą obdarowaną.

Yvette jednak była napięta i wylękniona, zastanawiając się, co przyniesie dzisiejszy wieczór i oczekując wiadomości od ukochanego.

Kelda jednak na widok bukietu przypomniała sobie, że Remy zapowiadał przesłanie następnej wiadomości w kwiatach. Nie bardzo wierzyła, że odważył się umieścić liścik w bukiecie wręczanym przez samego gubernatora, ale przecież mógł nie mieć innego wyjścia. Chciała ostrzec Yvette, ale było za późno, bo panowie stali już przed nimi, a gubernator witał się i wręczał bukiet. Kelda wszakże była gotowa do działania.

— Mam także coś dla pani, panno Lawrence — powiedział i podał jej obwiązane wstążką pudełeczko, zapewne z czekoladkami.

— Bardzo mi miło, że wasza ekscelencja pamiętał o mnie.

Gubernator patrzył na Yvette, która podziękowała zdawkowo za kwiaty:

— Są piękne. Dziękuję bardzo.

— Wstawię je do wody. Są tak cudne, że trzeba się nimi troskliwie zająć. Niech przetrwają jak najdłużej — powiedziała Kelda.

Wzięła bukiet z rąk Yvette.

— Może się tym zająć służba — zauważył lord Orsett.

— Muszę się przyznać: mam jeszcze jeden powód, aby pójść na górę: zapomniałam chusteczki. Każę pokojówce ustawić kwiaty w sypialni Yvette, myślę, że tam będzie na nie patrzyła najchętniej.

Zanim lord Orsett zdążył coś dopowiedzieć, wymknęła się z salonu, przecięła hall i wbiegła po schodach do sypialni. Zamknęła za sobą drzwi i starannie przeszukała bukiet. Łodygi storczyków były związane bardzo szeroką wstążką. W okamgnieniu rozwiązała ją i znalazła to, czego się spodziewała: karteczkę owiniętą wokół łodyg. Błyskawicznie schowała ją do szuflady, zawołała jedną z pokojówek, polecając jej wstawić kwiaty do wazonu, i zbiegła z powrotem do salonu.

Najważniejsze wydarzenie tego wieczoru już nastąpiło. Dla nich obu nie miało znaczenia nic poza instrukcją od Remy'ego, która — w co nie wątpiła — była wypisana na karteczce, doręczonej bezwiednie przez gubernatora. Jakie to zabawne, pomyślała, nic o tym nie wiedząc, służył kochankom za posłańca. Miała wielką ochotę opowiedzieć Yvette, co znalazła, ale wiedziała, że lepiej się z tym wstrzymać.

Ale kiedy wychodziły z jadalni, a mężczyźni zostali z tyłu, udało jej się szepnąć do ucha przyjaciółki:

— Te kwiaty, które przyniósł jego ekscelencja, to właśnie to, czego się spodziewałaś.

Oczy Yvette rozświeciły się, a usta rozchyliły w niemych uśmiechu. Jej twarz wyglądała, jakby padł na nią promień słońca.

Kelda miała nadzieję, że świadomość, iż list od ukochanego czeka na nią na górze, ułatwi Yvette odgrywanie narzuconej roli, zwłaszcza gdyby gubernator zdecydował się na oświadczenie.

— Pytała pani o rzeźby, panno Lawrence — mówił tymczasem lord Orsett. — W tamtym pokoju mam dwa prawdziwe rarytasy.

Przeszli do gabinetu, gdzie wystawione były rzeźby. Lord wskazał wykonaną z terakoty głowę mężczyzny.

— To z trzynastego wieku, pochodzi z Nigerii.

— Jaka piękna! — zawołała Kelda.

— Rzeczywiście tak pani uważa, czy mówi pani jedynie z uprzejmości?

— Naprawdę jest piękna. A tamta z kości słoniowej też jest wspaniała.
— To maska-napierśnik — wyjaśnił. Kelda przyglądała się jeszcze chwilę.
— Ciekawe, kogo przedstawia ta rzeźba. Na pewno nigdy się nie dowiemy.
— Prawdopodobnie jakiegoś wodza. Podobnie jak tutejsza poezja, rzeźba ma za zadanie głosić ich chwałę.

Kelda spoglądała nań z zaciekawieniem. Lord Orsett ciągnął:

— Być może słyszała pani, że najczęściej spotykaną w Afryce formą poetycką są hymny pochwalne. Poświęca się je nie tylko bóstwom, ale także ludziom, zwierzętom, a nawet roślinom.

— Jakież to ciekawe! — zawołała Kelda szczerze.

— Trzeba pani wiedzieć, że poezja afrykańska istnieje wyłącznie w formie recytacji lub pieśni.

— Nie wiedziałam, ale rozumiem, że Afrykańczykom najłatwiej wyrażać siebie za pomocą muzyki.

Jeszcze raz popatrzyła na figurkę z terakoty, podziwiając delikatne rysy, usta o wydatnych wargach i oczy, które — jak jej się wydawało — za życia modela musiały być mądre.

Była tak pochłonięta posążkiem, że odezwała się, jakby rozmawiała z ojcem:

— Powiedz mi jakiś wiersz, jakiś hymn pochwalny na cześć człowieka, takiego jak ten...

Lord Orsett wyglądał na zaskoczonego, ale posłusznie odpowiedział:

— Przetłumaczyłem właśnie ostatnio jeden taki utwór, ułożony na cześć wielkiego wodza Zulusów, Szaka. Żeby nie zanudzić pani, przytoczę tylko kilka wersów. — Zamilkł, a po chwili zaczął deklamować swoim głębokim głosem:

Oto Szaka, niewzruszony Gromowładny. Gdy siedzi, syn Menziego Jest orłem, przed którym pierzchają inne ptaki, Jest włócznie nad wszystkie włócznie.

— Fascynujące! I mówi pan, że to długi poemat?

— Zajął sporo kartek w mojej książce — uśmiechnął się lord Orsett. — Pieśni myśliwych, Ijaba, zwykle trwają tak długo, jak samo polowanie.

Kelda się roześmiała. Raptem spostrzegła, że Yvette zbliża się z drugiej strony salonu. Nie wyglądała na specjalnie wzruszoną, natomiast wargi gubernatora ozdabiał uśmiech satysfakcji.

— Teraz muszę już iść — oznajmił — ale pojutrze zamierzam wydać uroczyste przyjęcie w pałacu.

— Nie wątpię, że będzie wspaniałe — odparł lord Orsett, rzucając Yvette szybkie spojrzenie.

Kelda była pewna, że zastanawia się, czy okazją do wydania tego przyjęcia będą zaręczyny. Gubernator podał rękę Yvette.

— Au revoir, Yvette. Będę liczył godziny do naszego następnego spotkania.

W jego głosie brzmiało uczucie. Kelda zauważyła, że zwrócił się do Yvette po imieniu. Co więcej, patrzył jej w oczy przez dłuższą chwilę, a następnie uniósł jej dłoń do swych ust. Yvette lekko, prawie niedostrzegalnie, zadrżała od dotyku jego warg. Kelda miała nadzieję, że lord Orsett tego nie zauważył.

— Au revoir, mademoiselle Lawrence.

— Au revoir, wasza ekscelencjo. Dziękuję za prezent. To było naprawdę miłe z pana strony.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odruchowo odpowiedział gubernator.

Wyszedł z pokoju. Lord Orsett podążył za nim, a wtedy Yvette zapytała szeptem:

— Jest wiadomość od Remy'ego?

— Jest. Mam ją na górze, w sypialni. Pomimo lęku, że ktoś może podsłuchiwać, Kelda zapytała:

— Co ci powiedział gubernator?

— A jak myślisz? Naprzykrzał mi się z komplementami, a potem powiedział, że będziemy razem szczęśliwi i że pobierzemy się w końcu miesiąca!

— A ty co mu odpowiedziałaś?

— Powiedziałam, że jestem bardzo zaskoczona, ale doceniam zaszczyt, jaki mnie spotyka. Prosiłam o czas do namysłu, jako że nie myślałam dotąd o zamążpójściu, a już zwłaszcza o związku z kimś tak dostojnym.

Kelda parsknęła śmiechem.

— Ale spryciara!

— Staralam się udawać przed sobą, że to ktoś inny mówi za mnie, jakaś aktorka na scenie, i że ten spektakl musi skończyć się happy endem.

— Na pewno tak się skończy — zapewniła ją Kelda.

Nie mogły się doczekać, kiedy już będą mogły pójść do sypialni, a gdy mówiły lordowi dobranoc, ten — raczej nietaktownie zdaniem Keldy — powiedział:

— Miło mi było słyszeć, Yvette, że decydujesz się uszczęśliwić jego ekscelencję. Cieszę się, że zrozumiałaś, co jest dla ciebie dobre. Chciałbym cię pochwalić za zachowanie dzisiaj i na wczorajszej kolacji.

— Słowa wuja sprawiają mi wielką radość — skromnie odpowiedziała Yvette.

Keldzie przyszło do głowy, że lord Orsett może teraz zrobić jakąś aluzję do Remy'ego i „pokładowego romansu”. Ponieważ nie była pewna reakcji Yvette, trzeba było działać szybko.

— Milordzie, jesteśmy obie bardzo zmęczone i bolą nas mięśnie po porannej jeździe. Musimy się wcześniej położyć, aby jutro dobrze wyglądać — powiedziała.

— Jak zwykle ma pani rację, panno Lawrence. Dobranoc.

— Dobranoc, milordzie.

— Dobranoc, Yvette. Cieszę się, że i tobie zaczyna podobać się Senegal. Tak wiele jeszcze chcę ci pokazać. To przecież będzie twój dom. Mam nadzieję, że jutro zdołamy pojechać jeszcze dalej.

— Z przyjemnością. Dobranoc, wuju Maksymie. Odwróciła się gwałtownie i szybko ruszyła ku schodom na górę. Kelda musiała wziąć ją pod rękę i powstrzymać nieco. Obawiała się, że lord Orsett może być jednak bardziej domyślny, niż na to wygląda, i pamięta, że nie chciała oddać bukietu służbie.

— Uważaj... — szepnęła do Yvette, a głośno dodała: — Jestem taka połamana po dzisiejszej jeździe, że muszę się na tobie wesprzeć jak staruszka.

— Do rana ci przejdzie — odpowiedziała Yvette.

— Mam nadzieję.

Obie zdawały sobie sprawę, że lord może przysłuchiwać się ich rozmowie, ale nie obejrzały się za siebie i powoli szły po schodach, a potem korytarzem do swoich pokojów.

Pokojówki pomogły im się przygotować do snu, więc Yvette musiała powściągnąć niecierpliwość, dopóki sobie nie poszły. Kiedy zostały same, szybko przebiegła do sypialni Keldy.

— Gdzie to masz, szybko, pokaż mi! Oszaleję, jeżeli jeszcze każesz mi czekać.

— Wiem, co czujesz. Ale kochanie, musisz być ostrożna.

Wysunęła szufladę, znalazła list tam, gdzie go schowała, i wręczyła go przyjaciółce.

— Ach, Remy, mój kochany! Kocham cię! — zawołała Yvette okrywając list pocałunkami, zanim go jeszcze otworzyła.

Opadła na łóżko Keldy, a przeczytawszy zaledwie połowę, zakrzyknęła:

— Już jutro! Wyjeżdżamy jutro!

— Nie do wiary! — wykrztusiła Kelda. — Ale jakim sposobem. Powiedz mi, jak?!

— Wszystko jest w liście. Pozwól, że ci przeczytam.

Usiadła z listem w dłoni i przez chwilę ze wzruszenia nie była w stanie przeczytać słowa. Wreszcie zaczęła:

Kocham Cię, kochanie moje. Musimy wyruszyć niezwłocznie, zanim sprawy zajdą za daleko i będzie już za późno.

Wiem, że podejmuję poważne ryzyko, wysyłając ten list w kwiatkach, które gubernator przyniesie osobiście. Bukiet układał mój zaufany sługa, jedyny, jakiego tu mam. Twierdzi on, że w pałacu gubernatorskim nie można ufać nikomu. Modlę się, żeby ta wiadomość do Ciebie dotarła.

Wszystko przygotowałem. Reszta zależy od Ciebie. Musimy uciec z Dakaru jutro wczesnym rankiem, na pokładzie brytyjskiego statku, który udaje się prosto do Kapsztadu.

Na pokładzie będziemy zupełnie bezpieczni, bo administracja francuska nie będzie miała władzy na statku brytyjskim. Na morzu kapitan udzieli nam ślubu i zostaniesz moją żoną. Sporo czasu upłynie, zanim dotrzemy do Francji, a do tej pory wiele może się zdarzyć i nikt już nie będzie mógł unieważnić naszego małżeństwa.

Yvette zachichotała ze szczęścia.

— On ma na myśli to, że nikt nie będzie mógł powiedzieć, iż małżeństwo nie zostało skonsumowane. I nie będzie trzeba zgody kuratora. Do naszego powrotu mogę już zająć w ciążę!

Kelda była nieco zaskoczona sposobem rozumowania przyjaciółki, ale nic nie mówiła, czekając na dalszy ciąg. Zastanawiała się, jak Remy zamierza zorganizować wszystko i wykraść Yvette z domu.

— Dalej pisze mnóstwo cudownych rzeczy — ciągnęła Yvette — o tym, jaki będzie szczęśliwy, gdy się pobierzemy. Ale oto fragment, który cię zainteresuje:

Jak się dowiedziałem, a nie jest to w Dakarze tajemnica, Twój wuj ma zwyczaj jeździć konno co rano. Dzisiaj byliście z nim obie. Jutro na pewno znów wyruszy o tej samej porze, punkt siódma. Ty masz zostać w domu z powodu złego samopoczucia. Kelda niech jedzie z nim sama.

Kiedy tylko odjadą, a będę ich obserwował, przybędę pod dom powozem i powiem majordomusowi, że gubernator otrzymał wiadomość o ciężkiej chorobie Twojego krewnego i że masz niezwłocznie udać się do Francji. Musisz być całkowicie gotowa i ruszyć ze mną natychmiast do portu. Statek odbija o pół do ósmej.

Keldę aż zatchnęło z podziwu, a Yvette powiedziała:

— Czyż on nie jest najmądrzejszy? Widzisz, służbę całkiem zwiedzie to, co im powie. A zanim wrócicie z lordem z przejażdżki, my będziemy już daleko.

— Tak, wygląda na to, że to może się udać. A co z bagażem?

— Rzeczywiście, stroje...! — zawołała Yvette. Wzięła się pod boki i powiedziała:

— No, jasne! Remy o tym zapomniał. Jak mogę jechać do Kapsztadu tylko w tym, co będę miała na sobie?! — Po chwili zmitygowała się. — Zresztą, nieważne. Mogę jechać

nago, jeżeli tylko będę z Remym i nie będę więcej musiała oglądać na oczy tego wstrętnego gubernatora i wuja Maksyma.

— Czekaaj, czekaaj. Mam pomysł.

— Jaki?

— Nie możemy, co prawda, poprosić o kufer, bo wzbudziłoby to podejrzenia i na pewno doniesiono by o tym wujowi, ale nic nie stoi na przeszkodzie, abyś zawinęła swoje rzeczy w prześcieradło. Może to wyglądać trochę niekonwencjonalnie, ale...

Yvette wpatrywała się w nią przez chwilę z niedowierzaniem, a potem wydała okrzyk radości.

— Ach, Keldo, Keldo! Jakaś ty pomysłowa! Oczywiście, że możemy tak zrobić. Służba będzie pewnie trochę zdziwiona, ale co mi tam! Zaraz wszystko przygotujemy. Rano będę patrzyła, tak jak Remy, na wasz odjazd i zaraz potem każę pokojówkom znieść tłumoki na dół i zabierzemy je do powozu.

Zerwały się na równe nogi, ale zanim zaczęły pakować, Kelda wpadła na kolejny pomysł.

— Nie możemy użyć twoich prześcieradeł. Rano musisz być w łóżku i udawać chorą. Weźmiemy moje.

— Myślisz, że służba doniosłaby wujowi, że tylko udaję chorobę?

— Tego nie wiem, ale musimy unikać wszelkiego ryzyka. Nie wiemy, czy on nas nie szpieguje. Nie wolno nam nie doceniać jego inteligencji.

Przerwała na chwilę, marszcząc czoło.

— Tak, z pewnością jest zdziwiony zmianą twojego postępowania. Po tym pierwszym wieczorze nie wspomniałaś nawet o Remym, chociaż wtedy powiedziałaś, że się zaręczyliście.

— Cały nasz plan opiera się na założeniu, że lord Orsett nie zna kobiecej natury.

— To prawda. Ale jest bardzo inteligentny. Może mniej podejrzliwy niż z początku, ale musi mieć trochę wątpliwości, że tak potulnie przyjęłaś oświadczyzny gubernatora. Nawet nie nalegałaś na zwłokę.

— No, tak, chyba masz rację. Może to był błąd...

— Teraz to i tak już nie ma znaczenia — ciągnęła Kelda. — Ale nie wolno ci zrobić fałszywego kroku. Gdy pokojówki przyjdą jak zwykle wpół do siódmej, tylko ja będę na nogach. Ty masz leżeć, gdy one podniosą rolety, a ja zejść na dół i powiem twojemu wujowi, że fatalnie się czujesz i chciałabyś spędzić poranek w łóżku.

— Muszę się więc spakować w dwa prześcieradła, a nie cztery — zauważyła praktycznie Yvette.

Mnóstwo czasu zajęło przyjaciółkom zapakowanie najdroższych i najelegantszych strojów Yvette w dwa prześcieradła i pospinięcie wszystkiego agrafkami, tak aby toboły było wygodnie nieść. Kiedy wszystko było gotowe, ukryły toboły w szafie Keldy. Yvette objęła przyjaciółkę i powiedziała:

— Dziękuję, kochana Keldo, dziękuję stokrotnie. Jeżeli uda mi się jutro uciec, będę ci wdzięczna do końca życia.

— Musi ci się udać. Nie trafi się druga taka okazja.

— Wiem. Przez resztę nocy zamierzam się modlić o powodzenie sprawy. — Podeszła do okna i spojrzała na niebo, jakby szukając tam boskiej pomocy. — Wiem jedno, Keldo. Kapitan udzieli nam ślubu na statku brytyjskim, ale skoro tylko znajdziemy się w Kapsztadzie, odnajdziemy kościół katolicki, żeby wziąć ślub w zgodzie z naszą religią-

— Jestem przekonana, że Remy już o tym pomyślał.

— Pamięta o wszystkim. Czy dziwi cię, że jestem tak ogromnie w nim zakochana?

— Myślę, że przed wami wielka przyszłość. Kiedy już zostanie premierem Francji, ty będziesz żoną najodpowiedniejszą dla człowieka na tym stanowisku.

Roześmiały się serdecznie, chociaż łzy czały się tuż pod powiekami. Uściskały się raz jeszcze, i — ponieważ czekał je ciężki dzień — udały się na spoczynek.

Kelda nie mogła spokojnie leżeć wiedząc, że wszystko zależy teraz od precyzji działania i od tego, czy w ostatniej chwili nie pojawią się jakieś przeciwności. Z przerażeniem myślała o tym, że lord Orsett może odwołać przejażdżkę albo opóźnić ją z powodu złego samopoczucia Yvette, a statek odpłynie bez kochanków. Mogły zdarzyć się setki innych nieprzewidzianych wypadków, więc Keldzie trudno było wyleżeć. Wstała i ubrała się w śliczny strój do konnej jazdy, który dostała od Yvette. Kapelus, pejcz i rękawiczki położyła na łóżku, aby mieć je pod ręką.

O szóstej poszła do Yvette, która była już na pół ubrana.

— Jak będę leżała przykryta, to pokojówka nic nie zauważy.

— Moja pokojówka jest zwykle wcześniej, uprzedzę więc twoją, żeby nie odsłaniała okien, bo jeszcze chcesz spać.

— A co będzie, jak powiedzą o tym wujowi Maksymowi, a on odwoła przejażdżkę?

— Nie możemy przesadzać. Zachowujmy się normalnie. Powiedz jej po prostu, że jesteś śpiąca i pozwól jak zwykle przygotować ubranie.

W tym momencie jęknęła z przerażenia:

— Zupełnie zapomniałam. Przecież twoja szafa jest pusta! Ach, Yvette, jeżeli teraz wpadniemy, to po nas.

— Ja o tym pomyślałam. Popatrz, mój strój do konnej jazdy wisi na krześle, a do szafy schowałam to, w co chcę się ubrać na drogę. Zamknęłam drzwi na klucz, nic się nie stanie.

— Jesteś ode mnie sprytniejsza— zauważyła skromnie Kelda. — Mam na swoje usprawiedliwienie tylko to, że nigdy nie miałam do czynienia z taką ilością fatalaszków jak ty.

— Zostawiam ci więc jeszcze więcej. A kiedy już spotkamy się w Paryżu, sprezentuję ci najpiękniejszą kreację, o jakiej nawet nie marzysz.

— Kiedy dotrzecie do Paryża?

Yvette słysząc ton powagi w głosie Keldy powiedziała:

— Wiem, kochana, że obawiasz się, aby wuj Maksym nie odesłał cię w niełasce do Londynu. Proszę, oto są wszystkie moje pieniądze, to wystarczy na drogę do Paryża. — Zamilkła na chwilę. — Tak jak ci mówił Remy, kiedy będziesz w Paryżu, zgłoś się do mojej ciotki i czekaj tam na mnie. Napiszę do niej o tobie i o tym, co się wydarzyło. List wyślę, gdy tylko przybijemy do Kapsztadu. Tymczasem masz tu krótki liścik polecający.

— Ze też myślisz o mnie w takiej chwili.

— Oczywiście, że o tobie myślę. Kocham cię i zawdzięczam ci wszystko. Bez ciebie i twoich pomysłów byłabym tu uwięziona w lochu albo na strychu i Remy nie miałyby szans dotrzeć do mnie.

— Nie chciałabym sprawiać wam kłopotu...

— Żaden kłopot. Zaopiekujemy się tobą. Mogę ci obiecać, że już nigdy twoja noga nie przestąpi progu pensji pani Gladwin!

Po policzkach Keldy pocięły łzy. Ucałowały się czule. Nadchodził decydujący moment. Trzeba było, według określenia Keldy, zająć stanowiska bojowe.

Wszystko poszło nadzwyczaj gładko. Pokojówka weszła, by podnieść zasłony, a Yvette powiedziała sennie:

— Zostanę jeszcze w łóżku. Zawołam cię, jak będę wstawiała.

Pokojówka opuściła sypialnię, zostawiając tacę z kawą i ciepłą bułeczką maślaną. Kelda dostała to samo i przyszła ze swoją filiżanką do przyjaciółki.

— Najedz się i wypij kawę, bo możesz zasłabnąć.

Yvette zaśmiała się.

— Nic mi nie grozi, gdy wiem, że będę z moim ukochanym. Właściwie to czuję się jak po butelce szampana, unoszę się w przestworzach!

— Poczekaj, aż będziesz na statku — z uśmiechem przestrzegła ją Kelda.

Dokończyła porannej toalety, ucałowała Yvette na do widzenia i dokładnie za dziesięć siódma wyszła. Pokojówkom, które czekały w korytarzu, oznajmiła:

— Mademoiselle nie najlepiej dziś się czuje. Postanowiła nie jechać. Czekać tu, bo w każdej chwili może chcieć was wezwać. — Mówiła powoli, aby dobrze ją zrozumiały, po czym zeszła na dół.

Teraz nadchodził kluczowy moment całej intrygi. Musiała wyjaśnić lordowi, że jego siostrzenica nie będzie im dziś towarzyszyć, ale że ona sama ma wielką ochotę na przejażdżkę.

Podobnie jak one, lord Orsett pił rano tylko kawę. Śniadanie na tarasie podano wczoraj dopiero, gdy wrócili. Kelda nie miała pojęcia, gdzie lord jest teraz, ale gdy weszła do hallu, zobaczyła z ulgą przez otwarte drzwi, że od stajni prowadzono konie. W głębi korytarza rozległy się kroki i za chwilę pojawił się lord we własnej osobie.

Gdyby była mniej podniecona i gdyby jej serce nie biło tak spazmatycznie, zauważyłaby zapewne— podobnie jak wczoraj — że w stroju do konnej jazdy wygląda bardzo wytwornie.

Ale była w stanie myśleć jedynie o tym, żeby kwestia, którą miała wygłosić, zabrzmiała naturalnie. Od tego zależała przyszłość Yvette.

— Witam, panno Lawrence. — Zabrzmiało to pogodnie. Pewnie w dobry humor wprawiło lorda wczorajsze zachowanie Yvette.

— Dzień dobry, milordzie. Z przykrością muszę zakomunikować, że Yvette czuje się zmęczona i zdecydowała z nami nie jechać.

— Jest chora?

— Nie, tylko zmęczona — odparła — dołączy do nas przy śniadaniu. A może woli pan jechać beze mnie?

Mówiąc to poczuła, że jej propozycja, aby jechał sam, wzbudziła jego sprzeciw.

— Nie widzę powodu, żeby pani rezygnowała z treningu.

Kelda poczuła ulgę. Miała nadzieję, że nie odbiła się ona na jej twarzy.

— Bardzo chciałabym pojechać. Obiecał nam pan wczoraj pokazać nowe okolice. Mam nadzieję, że zobaczymy więcej dzikich zwierząt.

— Może uda nam się jakieś spotkać, ale miałem zamiar dzisiaj pokazać wam bardzo ciekawą wioskę w buszu, gdzie krajowcy farbują tkaniny, które tak bardzo wam się podobały.

— Ach, jedźmy tam! Bardzo chciałabym to zobaczyć! — wykrzyknęła Kelda. Lord Orsett uśmiechnął się. Wyglądało na to, że rozbawił go jej entuzjazm.

Nie było jeszcze siódmej, gdy zeszli na dół i dosiedli koni, które oczekiwały przed wejściem.

Kelda była pewna, że obserwuje ich Remy, ukryty gdzieś wśród drzew i krzewów. Żałowała, że nie może dać mu jakiegoś znaku, okazać, jak się cieszy z ich sukcesu. Odjechała jak najszybciej i wkrótce dom zniknął im z oczu.

Poranek był piękny, wiatr od morza chłodził jej policzki, gdy kłusowali po piaszczystym gruncie. Starła się nie myśleć o tym, co się teraz dzieje w domu. Starła się wyciągać lorda Orsetta na opowiadania o tym, co interesowało go najbardziej, czyli o Afryce i o jego książce. Nie było to trudne.

— Myślałam wczoraj o czarnej magii, której uprawianie wszyscy przypisują Afrykańczykom. Czy spotkał się pan z tym w swoich badaniach?

— W życiu ludów prymitywnych przesady i to, co nazywają czarami, odgrywa wielką rolę. Kiedy wczoraj położyłem się spać, przypomniało mi się zaklęcie, które może panią zainteresować.

— Proszę mi je zacytować — poprosiła.

— Gdy czarownik Ibo ma wróżyć z kości przyszłość, takimi słowy wzywa prawdę, aby ukazała mu się w całej jasności:

Cóż przyniesie dzień ?

Tryumf czy porażkę? Życie czy śmierć?

Cóż to za zły duch rzuca cień, Za którym kryje się prawda?

— Podoba mi się! — zawołała. Te słowa szczególnie pasowały do aktualnej sytuacji. Zastanawiała się, czy lord Orsett nie przeczuwał czegoś.

— A oto dwa wersy tego zaklęcia na zakończenie — ciągnął — wydają się szczególnie poetyczne:

Oto wschodzi słońce.

Spójrz, to prawda spływa po jego promieniach.

— Śliczne — zgodziła się. Na chwilę zapadła cisza. Potem Kelda dodała: — Chciałabym przeczytać pańskie dzieło.

— Pierwszy tom jest już na ukończeniu. Rzuciła mu pytające spojrzenie. Uśmiechnął się lekko i powiedział:

— Jeżeli nie sprawi pani trudności czytanie z rękopisu, to udostępnię go pani.

— Bardzo chętnie przeczytam — powiedziała szczerze.

Wtem przypomniała sobie, że gdy wrócą do domu, nie będzie już mowy o czytaniu rękopisu, i w ogóle o pozostaniu tu dłużej niż to konieczne, aby spakować manatki i zabrać się najbliższym statkiem. Świadomość ta przygnębiła ją. Tak mało знаła ten kraj i ludzi. Pograżona w czarnych myślach, jechała w milczeniu. Zmieszła się, słysząc pytanie lorda Orsetta.

— Czym się pani martwi? Spojrzała zaskoczona.

— Skąd pan wie, że się martwię?

— Nie jestem ani tak tępy, ani nieczuły, jak pani uważa.

Przez jedną przerażającą chwilę Kelda myślała, że przejrzał całą ich intrygę, że Yvette jest teraz uwięziona w pokoju, bez nadziei na połączenie się z ukochanym.

Ale on dodał:

— Wydaje mi się, że jest pani bardzo wrażliwą osobą, panno Lawrence. Ludzie wrażliwi rozsiewają wokół siebie aurę, którą potrafią wyczuć inni wrażliwi ludzie. Stąd wiem, że coś panią niepokoi.

— Jeśli nawet ma pan rację, to nie jest nic, co byłoby warte uwagi. Podziwiamy lepiej tę piękną okolicę.

Wysunęła się przed niego i zawołała:

— Proszę spojrzeć, widzę wioskę. O, tam, widać spiczaste strzechy!

— Ma pani słuszność — zgodził się. — Ale mam nadzieję, że opowie mi pani o swoich kłopotach w drodze powrotnej.

Zatrzymali się w wiosce na dłużej. Kelda zwlekała z powrotem nie tylko dlatego, że wszystko ją tu fascynowało — i farbowanie tkanin, i koncert muzyki afrykańskiej — ale także dlatego, że obawiała się powrotu.

Wysoki młodzieniec o szerokich ramionach zagrał dla nich na instrumencie cora, zrobionym z wydrążonego owocu kalabasa służącego za pudło rezonansowe, na którym rozpięto struny ze skręconych włókien. Wydobywał z niego czysty, delikatny ton, świetny akompaniament do śpiewów i tańca.

— Musicie koniecznie zobaczyć z Yvette tutejsze tańce — powiedział lord w drodze powrotnej. — Tańcem Senegalczyki wyrażają wszystkie aspekty życia. Tancerze noszą u kostek dzwoneczki i grzechotki z ziarn prosa zawiniętych w liście.

— To musi być zachwycające. — Jej głos zabrzmiał smutkiem, nic nie mogła na to poradzić. Wiedziała, że będzie musiała opuścić Dakar i zobaczy tancerzy jedynie oczami wyobraźni. Rozglądała się uważnie, chłonąc widoki drzew, kwiatów, zwierząt i ludzi, świadoma, że podziwia je po raz ostatni. Widziała kobiety dźwigające ciężkie pakunki na głowach, mężczyzn pracujących w polu za pomocą drewnianych narzędzi, niezmiennych od niepamiętnych czasów. W końcu zobaczyła morze i zarys dachu siedziby lorda Orsetta.

Jej serce zaczęło bić jak szalone, wargi wyschły i z trudem odpowiadała lordowi Orsettowi.

Na podjeździe czekało dwóch stajennych. Przytrzymali konie, lord zsiadł pierwszy i pospieszył jej z pomocą.

Wysunęła nogę ze strzemienia, ześlizgnęła się z konia i dotknęła stopami ziemi, marząc, żeby ta ziemia rozstała się i skryła ją.

W hallu ujrzała obok służących starszego pana, tego samego, który powitał je na statku w imieniu lorda.

— Dzień dobry, Bonnier — powiedział lord Orsett.

Keldzie zdawało się, że w głosie jego zabrzmiało zdziwienie.

— Pragnę pana poinformować — zaczął monsieur Bonnier — że wkrótce po pana odjeździe z pałacu gubernatora przybył powóz z wiadomością od jego ekscelencji. Krewna panienci Yvette rozchorowała się ciężko w Paryżu, więc panienka musiała niezwłocznie udać się na statek i odpłynęła dziś rano o pół do ósmej.

Lord Orsett stał jak skamieniały. Kelda również słuchała, nie mogąc zrobić kroku.

— Czy zdążyła na statek?

— Najpewniej. Dowiedziałem się o wszystkim już po fakcie.

— Kto po nią przyjechał?

— Nie znam nazwiska. Jeden z tych młodych attache.

Lord Orsett zacisnął usta i po raz pierwszy, odkąd pan Bonnier zaczął mówić, spojrzął na Keldę.

— Musimy porozmawiać, panno Lawrence. — Ton jego głosu nie wróżył nic dobrego. Przemaszerował przez hall, a ona posłusznie za nim. Otworzył drzwi pokoju. Weszła, drzwi zamknęły się, a on odwrócił się do niej: — Wiedziała pani, co się święci — zaczął ostro. — Proszę o wyjaśnienia.

Przez chwilę Kelda nie była w stanie wykrztusić słowa. Potem, starając się, by głos jej brzmiał spokojnie, odpowiedziała:

— Chyba nie był pan tak nierozsądny, aby wierzyć, że taką miłość, jak tych dwojga, można zrujnować zgodnie z pańskim widzimisię!

— Kto to zaplanował i w jaki sposób? — zażądał gniewnie odpowiedzi.

— A cóż panu po tej wiadomości? — zapytała. — Wezmą ślub bez pańskiej zgody i nic pan nie może na to poradzić.

— Mogę zatrzymać statek w St. Louis — wybuchnął — albo gdy dotrą do Marsylii, nakazać aresztowanie tego śmiałka za uwiedzenie nieletniej!

Podniósł głos, który odbijał się echem wśród ścian.

— Cóż to panu pomoże, skoro do tego czasu Yvette może już będzie spodziewać się dziecka?

Z jego miny widać było wyraźnie, że nie przyszło mu to na myśl. Zgrzytając zębami, odwrócił się do okna. Przez chwilę przyglądał się morzu. Kelda czuła, iż jest załamany; jego plany legły w gruzach. Odezwała się z wahaniem:

— Przykro mi, że jest pan wściekły. Powinien pan wiedzieć, że prawdziwej miłości nie można powstrzymać ani zapomnieć z dnia na dzień. — Lord Orsett zastygł w milczeniu. Po chwili dodała: — Yvette będzie szczęśliwa. Ona jest taka urocza i piękna. Chyba pragnie pan jej szczęścia?

Chwile jeszcze stał w milczeniu. W końcu odezwał się głosem szorstkim od tłumionej złości:

— Proszę iść na górę i przebrać się. Ma pani być gotowa za dwadzieścia minut. Pojedzie pani ze mną!

Kelda była zbyt przestraszona, żeby zapytać, dokąd i po co mają jechać. Otworzyła drzwi i pospieszyła przez hall na górę. Jeszcze na schodach usłyszała, jak lord woła monsieur Bonniera.

Pewnie chce mnie odesłać do domu — pomyślała, tracąc resztki nadziei. Jeżeli wyjadę, znów będę sama. Chociaż Remy i Yvette chcą mnie przygarnąć, tak naprawdę nigdzie nie ma dla mnie miejsca. Nigdy już nie będę czuła się taka szczęśliwa jak tutaj.

Ze szczytu schodów widziała, jak monsieur Bonnier spieszy na wezwanie lorda. Co ze mną będzie? — zadawała sobie pytanie.

Jej świat się kończył, tak jak po śmierci rodziców. Oczekiwały ją niepewność i lęk.

ROZDZIAŁ 6

Schodziła po schodach powoli. Każdy krok wymagał wysiłku. Była po kąpieli, którą przygotowała jej pokojówka, jak zwykle po jeździe konnej. Leżąc w aromatycznej ciepłej wodzie przypomniła sobie, jak trudno było umyć się dobrze w zakładzie pani Gładwin. Tam kąpać się mogły tylko uczennice. Ona musiała korzystać ze starej, zrujnowanej łazienki na tyłach kuchni. Wodę trzeba było grzać na piecu i nosić w dzbanach tak ciężkich, że z ledwością je dźwigała. Mogła również myć się w zimnej wodzie i wycierać w małe, cienkie i podarte ręczniki. Pani Gładwin uważała, że jej takie wystarczą. Ach, myć się w luksusowych warunkach, mieć służbę, zawsze świeżo odprasowane suknie — to były przyjemności, które nauczyła się tu doceniać. Teraz już koniec, myślała. Te i inne rozkosze, jakich tu zaznała, skończyły się i będzie musiała opuścić Senegal, przez resztę życia przechowując troskliwie pamięć o tym pięknym kraju.

Przez frontowe drzwi widać było jaskrawą czerwień kwiecica hibiskusa, a w głębi wspinające się po ogrodzeniu bujne pędy fioletowej bugenwilli. Będąc tutaj przez cały

czas czuła, że bogactwo barw kwiatów ogrzewa ją tak jak słońce. Zadrżała na myśl o styczniowych chłodach w Anglii.

Z oczyma szeroko rozwartymi ze strachu wślizgnęła się do salonu, gdzie spodziewała się zastać lorda Orsetta.

I rzeczywiście. Stał w głębi pokoju. Wydawało jej się, że ma do przejścia całe mile. Nie śmiała spojrzeć na niego. Wiedziała, że zobaczy gniewne spojrzenie, że jest wściekły jak przedtem.

Zbliżyła się, a on odezwał się szorstko:

— Postanowiłem dać pani wybór.

Rzuciła nań spojrzenie i zobaczywszy — czego się spodziewała — złowieszczy cień na jego obliczu, odwróciła znów wzrok.

— Wybór? — wykrztusiła pytająco.

— Uknuliście z Yvette spisec, który udaremnił moje dalekosiężne zamiary. Więc teraz musi pani pójść ze mną albo do pałacu gubernatora, albo do Pałacu Sprawiedliwości.

Wzdrygnęła się.

— Czyżby... chciał mnie pan... wtrącić do więzienia?

— Może to pani i tak nazwać. Po prostu proponuję pani zajęcie miejsca Yvette i małżeństwo z gubernatorem. Albo... ze mną!

Wstrzymała oddech, a potem bez namysłu zawołała:

— Pan jest szalony!

— Raczej rzeczowy — odparł. — Ściągnąłem tutaj Yvette w konkretnym celu. Ponieważ obie uznałyście za stosowne zakpić z mojego autorytetu i wzięłyście sprawy we własne ręce, od pani oczekuję teraz zadośćuczynienia.

— To niemożliwe! Pan nie może uważać, że powinnam wyjść za gubernatora albo za pana!

— Właśnie, że tak uważam. Już mówiłem, jak ważne dla przyszłości Dakaru jest zwiększenie liczby mieszkających tu Europejek. Pani świetnie się do tego nadaje. Wybór należy do pani.

— Rzeczywiście sądzi pan, że mogłabym przyjąć takie warunki?

— Obawiam się, że nie ma pani innego wyjścia. A żeby pomóc pani w podjęciu decyzji, dodam, że mogę się zastanowić, czy nie odstąpić od ścigania tego młodego człowieka, którego uznałyście za odpowiedniego kandydata na męża mojej siostrzenicy — jeżeli przyjmie pani moje warunki bez zbędnych oporów.

Wstrzymała oddech.

Zrozumiała, że postawił ją w sytuacji bez wyjścia. Musiała przyjąć jego propozycję. A równocześnie każdy nerw jej ciała protestował, a instynkt podpowiadał jej, że ta propozycja jest równie odrażająca i diaboliczna jak poprzednie plany w stosunku do Yvette.

Jak mogłaby brać pod uwagę małżeństwo z gubernatorem, który nie tylko jest stary, ale dotąd chciał się żenić z jej przyjaciółką?

Natomiast lord Orsett...

Zamarła. Podstępny glos zaczął jej podszeptować, że to jedyna możliwość życia wśród słońca i kwiatów, bez lęku o przyszłość, czy to we Francji, czy w Anglii.

Pozostając w Dakarze byłaby wolna od etykiety „tej z przytułku”, która przylgnęła do niej przez te wszystkie lata. Obraz bezpiecznej przyszłości zamajaczył przed oczami. Chciała go schwycić, przytrzymać... Wiedziała jednak, że drogo za to zapłaci: będzie

musiała zaakceptować lorda Orsetta, który jest na nią wściekły, przeraża ją i przytłacza bardziej niż ktokolwiek na świecie.

W jej myśli wdarł się jego głos.

— A więc? Zdecydowała się pani? Myślę, że pozycja żony gubernatora zapewni pani wpływy i znaczenie, które nieco zrekompensują pewne niedostatki kandydata.

Drwił z niej wyraźnie. Cyniczna nuta w jego głosie przerażała ją bardziej niż złość.

— Czy naprawdę mam tylko taki wybór? — spytała słabym głosem.

— Ewentualnie może pani wracać do Anglii, a ja już policzę się z tym młodym Mendesem! Zasługuje na surową karę!

Nie warto było apelować do jego litości. Od początku wiedziała, że to typ człowieka, który zawsze stawia na swoim, nie zważając na przeciwności. Taki, dla którego cel uświęca środki. Jeżeli mówi, że ukarze Remy'ego, zrobi to na pewno. Nie cofnie się przed niczym. A poza tym... Egoistyczna myśl przyszła jej do głowy: jeżeli lord Orsett zrujnuje karierę Remy'ego, jeżeli zrujnuje jego związek z Yvette, to i dla niej nie będzie przyszłości w Paryżu. Będzie musiała wrócić do zakładu pani Gladwin i znosić życie popychadła, jakie wiodła, zanim tu przyjechała...

Jakby chcąc ją ponaglić, lord Orsett wyjął z kieszeni kamizelki zegarek i spojrzał nań. Gdy go schował, Kelda odezwała się prawie bezgłośnie:

— Wyjdę... za pana!

— Czy jest pani tego pewna? — zapytał. Kelda nabrała powietrza.

— Jest coś, co muszę panu wyznać. Potem nie będzie już chciał się pan ze mną żenić.

Ani pan, ani gubernator.

Wyglądał na zaskoczonego. Podeszła do okna i patrzyła niewidzącymi oczyma na połyskliwą toń oceanu i krzyczące barwy kwiatów na tarasie.

To, co musiała powiedzieć, było tak upokarzające, że nie była w stanie otworzyć ust.

Stała tak przez dłuższą chwilę, gdy za plecami usłyszała jego głos:

— Czekam...

— Nie jestem tą, za kogo mnie uważacie — zaczęła, z trudem poruszając wargami. — Wydawałam się wam przyjaciółką i towarzyszką Yvette, tymczasem wysłano mnie tu w zupełnie innym charakterze.

Czuła, że lord Orsett jest zaskoczony. Chyba zbliżył się do niej. Ciągnęła:

— Kiedy... moi rodzice zginęli podczas trzęsienia ziemi w Turcji... wysłano mnie do sierocińca. Zostałam... „tą z przytułku”.

Nie udało jej się powstrzymać krótkiego szlochu, który wyrwał jej się z piersi, gdy wymawiała to słowo, którym ciskano w nią urągliwie przez tyle lat i które wciąż sprawiało ból.

— Przebywałam tam przez trzy lata. Jako piętnastolatka zostałam przyjęta na służbę do zakładu naukowego dla młodych panien, prowadzonego przez panią Gladwin.

— Na służbę?! — powtórzył lord Orsett, jakby chcąc się upewnić, że się nie przesłyszał.

— Popychadło do wszystkiego, do czarnej roboty, której unikali wszyscy. Szorowanie podłóg. Zmywanie. Przynieś, wynieś, pozamiataj.

Lord Orsett wydawał się zbyt osłupiały, by wtrącić cokolwiek. Wiedziała, że musi dopowiedzieć swoją historię do końca. Ciągnęła więc w pośpiechu:

— Dwa lata temu awansowano mnie na stanowisko pokojówki. Zaczęłam służyć nauczycielkom i pomagać wychowankom w praniu i naprawie odzieży. — Z jakiegoś powodu postanowiła niczego nie ukrywać. — Celowo zbliżyłam się do Yvette de Villon. Chciałam udoskonalić swój francuski. Polubiła mnie i zaprzyjaźniłyśmy się.

Odwróciła się do lorda Orsetta. Jego sylwetka ciemniała na tle rozświetlonego okna.

— Kiedy zawezwał pan Yvette, nikt nie chciał jechać z nią do Afryki. Wszystkie nauczycielki odmówiły, więc mnie polecono towarzyszyć jej i służyć w podróży. Miałam wracać najbliższym statkiem.

Nie śmiała mu spojrzeć w oczy. Zerknęła ukradkiem spod rzęs, wydawało się, że jego twarz złagodniała trochę.

— Czyj to był pomysł, żeby udawać przyjaciółkę Yvette i przebrać się w jej stroje?

— Miałam tylko ohydne, szare łachy, takie same, jakie nosiłam w sierocińcu. To Remy Mendes zaproponował, że — jeśli będę odpowiednio ubrana — mogłabym pomóc im przekonać pana do ich małżeństwa.

— Aha! Więc spodziewaliście się mojego sprzeciwu i knuliście spisek jeszcze na statku?!

— Yvette sądziła, że może się pan nie zgodzić na ślub ze względu na jej młody wiek. W najczarniejszych przewidywaniach nie sądziła, że będzie chciał ją pan wydać za starucha, którego nie widziała przedtem na oczy.

— Większość kobiet uznałaby gubernatora za świetną partię — zimno skwitował lord Orsett.

— Ale przecież Yvette była zakochana! — wykrzyknęła Kelda.

— Natomiast pani nie jest...

— Czy sądzi pan, że ten Francuz, z pewnością snob jak oni wszyscy, zechce ożenić się z „tą z przytułku”?

— Nie mówmy o Francuzach. Przecież już powiedziałaś, że wolisz wyjść za mnie!

— Czy ożeni się pan z istotą, która przez osiem lat żyła w takich warunkach, że towarzystwo uzna ją za trędowatą?! — zapytała ze złością.

Miała wrażenie, że celowo igra z jej cierpieniem. Wyznała mu całą prawdę, a on się z nią drażni, mając obrazem pozycji, którą mogłaby zająć, gdyby dalej go oszukiwała.

— Mogła pani ukryć prawdę — rzekł, jakby zgadując jej myśli.

— A co byłoby, gdyby pan mimo wszystko się jej dowiedział? Gdyby, powiedzmy, gazety rozgłosiły, kim była pańska żona, zanim została lady? — Westchnęła głęboko. — Wyznałam prawdę. Teraz, jak sądzę, zorganizuje pan jakoś mój powrót do Anglii.

— Więc chce pani tam wrócić?

Kelda miała ochotę wykrzyknąć, że jest to ostatnia rzecz, której chce. Ponieważ jednak postanowiła być uczciwa do końca, powiedziała:

— Remy i Yvette obiecali znaleźć mi posadę w Paryżu.

— Jaką posadę? — padło szybkie pytanie.

— Remy Mendes ma trzy siostry. Któraś z nich mogłaby mnie zatrudnić jako lektorkę angielskiego dla dzieci.

— A więc wolałabyś być guwernantką, żywiącą się okruchami z pańskiego stołu, niż zostać tutaj i być moją żoną!

Przez chwilę wpatrywała się w niego w osłupieniu.

— Czy mam rozumieć, że po tym, co pan usłyszał, pańska propozycja jest nadal aktualna?

— Nie lubię zmieniać planów — jakby usprawiedliwiając się powiedział lord Orsett. — Jeżeli jest pani gotowa, możemy jechać do Pałacu Sprawiedliwości — bo merostwo nie jest jeszcze gotowe — gdzie, zgodnie z prawem francuskim, mer udzieli nam ślubu.

Wciąż wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

— Czy jest pan pewien, że to, co pan chce uczynić, jest właściwe?

— Tak właśnie zamierzam postąpić — rzekł wyniośle.

Zdumiona, nie odzywała się. Nie miała nic do powiedzenia ani nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby zrobić. To nie mogła być prawda. Chyba śni. Zostać żoną człowieka, który czuje do niej nie tylko złość, ale i niesmak? Cóż jednak może na to poradzić? Przecież nie pozwoli, aby doprowadził do skazania Remy'ego. Dokąd pojechałaby, gdyby nawet udało jej się uciec?

Unikając jego wzroku, szła ze spuszczoną głową, a on uprzejmie otworzył przed nią drzwi. Odkryty powóz z białą markizą czekał przed frontem. Wsiadła.

Po drodze rozmyślała. Oto weźmie w Dakarze ślub, i to w takich okolicznościach! Kiedy widywała razem Yvette i Remy'ego, zapatrzonych w siebie, modliła się w głębi serca o podobną miłość dla siebie. Desperacko potrzebowała miłości, a nie zaznała jej, odkąd zginęli jej rodzice. Nikt nigdy, z wyjątkiem Yvette, nie darzył jej nawet przelotną sympatią. Czowała w sobie niewysłowioną potrzebę miłości, a uczucia, jakie w niej budziło piękno muzyki, książek, które czytała, kwiatów, tak bujnych tu w Senegalu, wywodziły się z tego samego źródła. Cała była oczekiwaniem na dawanie i otrzymywanie miłości. Teraz miała wyjść za mąż bez niej. Wydawało jej się, że lodowata ręka chwyciła i ścisnęła jej serce. Wychodzisz za mąż, przypominał jej rozsądek. Ale nie bardzo mogła uwierzyć, że to nie wytwór jej wyobraźni. A jednak prawdziwie po kobiecemu przyjrzała się sobie, oceniając, czy jej strój jest stosowny do okazji. Przebierając się po przyjeździe była tak przerażona wściekłością lorda, że było jej wszystko jedno, co włoży. Zostawiła więc wybór pokojówce. Teraz zobaczyła, że ma na sobie ulubioną różową suknię Yvette, z szarfą o ciemniejszym odcieniu i takimiz różami przy słomkowym kapeluszu. Prawdę mówiąc, suknia była świetnie dobrana na tę wyjątkową okazję. Jedynie biała mogłaby być bardziej odpowiednia.

Dla Keldy jednak róż oznaczał miłość, a ta w dniu jej zaślubin nie zjawiała się. Obecne były jedynie obawa i lęk.

Dotarli do Pałacu Sprawiedliwości. Monsieur Bonnier czekał na nich przed potężnymi wrotami.

Kelda domyśliła się, że lord Orsett musiał go wysłać wcześniej, żeby dopełnić wstępnych formalności. Zaskoczyło ją to. A więc był pewien jej wyboru. Rozmawiał z nią tak, jakby nie miał wątpliwości, że wybierze gubernatora, a Bonniera wysłał mimo to! Wsiadając słyszała, jak starszy pan mówił:

— Wszystko przygotowane, milordzie. Mer oczekuje państwa.

Długimi korytarzami prowadził ich urzędnik, który kłaniał się Orsettowi bardzo nisko. Wreszcie otwarto jakieś drzwi i ów człowiek ogłosił:

— Panie merze, lord Orsett.

Za biurka podniósł się Francuz w podeszłym wieku, ubrany w mundur wyższego urzędnika, i powitał ich szerokim uśmiechem.

W drodze powrotnej lord Orsett milczał. Ostatnie słowa, jakie od niego usłyszała, to odpowiedzi w czasie ceremonii ślubnej. Potem nie odezwał się już ani słowem. Kelda czuła, że powinna coś powiedzieć, ale nieśmiałość związała jej język.

Była mężatką! Była żoną lorda Orsetta! Trudno było o tym myśleć, a cóż dopiero mówić. Nie do wiary! Po ośmiu latach upokorzeń i biedy, po latach pomiatania przez panią Gladwin, osiągnęła pozycję społeczną, której zazdrościłyby jej wszystkie wychowanki pensji i pewnie wszystkie chętnie by się z nią zamieniły! Z ich rozmów

wiedziała, że marzeniem każdej było bogato i arystokratycznie wyjść za mąż. W ich rozważaniach nie pojawiała się miłość.

Natomiast chętnie wdzięczyły się i chichotały do prawiących im komplementy młodzieńców, którzy na wakacjach starali się im skraść całusa. Ale małżeństwo to poważna sprawa — tu główną rolę grały pozycja społeczna i majątek kandydata. Większość z nich akceptowała fakt, że ich małżeństwo będzie zaaranżowane całkowicie przez rodziców. Kelda słuchała tych rozmów jednym uchem, zwykle zbyt zajęta pracą lub nauką. Teraz ze zgrozą sobie uświadomiła, że jej małżeństwo odpowiada tym właśnie kryteriom.

Ale ja pragnę miłości, myślała, i zaraz tłumaczyła sobie, że oczekuje od życia zbyt wiele. Powinna być przecież głęboko wdzięczna, że nie musi teraz wracać do pani Gladwin albo do Paryża, „żyć się odpadkami z pańskiego stołu”, jak to określił lord Orsett.

Siedziała obok milczącego mężczyzny, swojego męża, a z jej suchych warg nie mogło spłynąć ani jedno słowo.

Powóz minął kutą bramę. Kwiaty hibiskusa wydawały się czerwieńsze niż zwykle na tle białego muru.

Oto mój dom — pomyślała. Dom! Coś, czego nie miałam od czasów dzieciństwa.

— Siadamy zaraz do obiadu — oznajmił lord Orsett, ledwie powóz stanął przed wejściem. — Jest pani zapewne głodna, nie jadła pani śniadania.

Powiedział to tak zwyczajnie, tonem towarzyskiej pogawędki, że odpowiedź przyszła jej bez trudu:

— O, tak, teraz czuję, że jestem bardzo głodna, milordzie.

Zastanawiała się, jak się do niego zwracać. „Milordzie”? Ta forma wydała się jej najodpowiedniejsza, tak była onieśmielona.

Żeby nie musiał czekać, oddała kapelusza służącej i szybko przyczesła włosy dłonią. Czekała, nie wiedząc, gdzie podadzą posiłek.

— Butelkę szampana! — usłyszała jego władczy głos. — Powiadom szefa kuchni, że obiad ma być natychmiast.

Przeszedł na taras, a Kelda podążyła za nim.

Słońce igrało tak jasno na tańczących falach oceanu, że ich widok prawie oślepił. Powietrze przenikał wszechobecny aromat kwiatów, a łagodny powiew pasatu mile chłodził policzki. Poczuli się nagle odprężona, jakby już napiła się szampana.

Nie musi wyjeżdżać! Może tu zostać i nadal napawać oczy rozkosznymi widokami wokół. Nie musi obawiać się niczego, nie musi już konspirować i uważać na to, co mówi.

Wpatrywała się w scenerię przed sobą, jakby oglądała ją po raz pierwszy. Nagle zdała sobie sprawę, że lord Orsett usiadł pod płóciennym daszkiem i jej się przygląda.

W nagłym impulsive odwróciła się do niego i zawołała:

— Jest tak pięknie!

Mówiła mu to już dziesiątki razy: kiedy jeździli konno, kiedy oglądali ludowe rzeźby, kiedy mowa była o Senegal. Ale teraz było w tym jeszcze więcej pasji. Jej wyznanie wyszło z głębi duszy, bo nareszcie całe to piękno wokół stało się światem, do którego należała.

Nie odpowiedział, bo właśnie pojawiła się służba z szampanem. Nalał dwa kielichy złotego trunku i podniósł je w toaście:

— Za naszą przyszłość. Jego słowa zaskoczyły Keldę.

— Mam nadzieję, że... uda mi się... uszczęśliwić pana — powiedziała z wahaniem.

Sama nie bardzo w to wierzyła. Wydawało jej się, że on nie potrafi być szczęśliwy. Cynizm i niechęć do ludzi zbyt głęboko wryły mu się w duszę. Ale postanowiła, że spróbuje. Tego oczekiwałaby po niej matka. Czuła, że musi mierzyć siły na zamiary.

Jaka jest jej wiedza o mężczyznach? Żadna, zwłaszcza o takich samotniczych typach jak lord Orsett. Jakie jest jej przygotowanie do życia, które ma teraz wieść? Z żalem pomyślała, że jest zupełnie nieodpowiednią osobą na żonę dla niego. Zaprowadził ją do ślubu tylko dlatego, że nie mógł znieść świadomości, iż ktoś zniweczył jego plany. Aby jego wypieszczony projekt nie rozpadł się na dobre, musiał znaleźć jakąś kobietę, która zostanie na stałe w Dakarze.

Tłumaczenie się przed gubernatorem z ucieczki Yvette będzie dla niego upokarzające. Sytuacja lorda Orsetta była nie do pozazdroszczenia. Kelda

uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że jest jej przykro z tego powodu.

— Podano do stołu! — oznajmił służący. Chciała coś powiedzieć, ale tylko odstawiła kielich i wstała. Razem przeszli do jadalni.

Kelda pamiętała nauki matki, która powtarzała jej, że milczenie przy posiłku jest oznaką złego wychowania, więc zmusiła się do zdawkowej konwersacji.

— Czy pamięta pan o obietnicy?

— Jakiej?

— Ze da mi pan do przeczytania rękopis swojego dzieła.

— Nie zapomniałem.

— Jakie okoliczności wpłynęły na pański zamiar napisania historii Afryki?

— Zaczęło się od lektur o Afryce. Czytałem wiele o kolonizacji fenickiej, o Grekach, później Rzymianach, Wandalach, Bizantyńczykach, wreszcie o inwazji muzułmanów.

— To z pewnością fascynujące zajęcie, ale trudne.

— O, tak.

— Słyszałam, że islam ma w sobie wiele mistycyzmu.

— Widzę, że pani wiadomości są głębsze, niż podejrzewałem. Z pewnością doceni pani moje dzieło.

— Na pewno będę zafascynowana.

I zaczęli rozmawiać o plemionach afrykańskich. Wyglądało na to, że rozpląnęła się gdzieś jego złość.

Ona, zainteresowana bardzo tematem, zasypywała go pytaniami, zapominając o charakterze łączącego ich związku. Rozmawiała z nim jak ze starszym nauczycielem, który może jej wiele wyjaśnić.

Przy kawie lord Orsett pozwolił sobie na lampkę brandy. Służba oddaliła się. Nagle Kelda znów poczuła się nieśmiała i skrępowana. Chciała zadać mu wiele pytań dotyczących ich wspólnej przyszłości, ale nie wiedziała, od czego zacząć.

Wydawało jej się, że także i on waha się, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie miała pojęcia, co to może być. Wyczuwała z niepokojem, że rozmyśla o niej i bardzo chciała wiedzieć, co myśli.

Wtem drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczyła kobieta.

Była ubrana w tradycyjny miejscowy strój, więc Kelda wzięła ją zrazu za kogoś ze służby i nie poświęciła jej uważniejszego spojrzenia. Tymczasem lord Orsett uniósł się z krzesła, więc spojrzała znów i stwierdziła, że to wyjątkowa piękność. Była niewątpliwie Mulatką: jej rysy zdradzały europejskie pochodzenie, a kolor skóry świadczył o afrykańskich przodkach.

Poruszała się z gracją. Włosy ułożyła sobie w wyszukaną fryzurę, składającą się z dziesiątków warkoczyków zadzierzgniętych na końcu w pętelki. Dakarskie pięknie często tak się czesały. Ubrana była w tunikę boubou w przepięknym odcieniu fioletu i obwieszona cenną złotą biżuterią z bursztynami.

Płynęła w kierunku stołu z niezachwianą pewnością siebie, patrząc lordowi prosto w oczy.

— Cóż cię tu sprowadza, Antoinette? — zaczął po francusku.

— Na targu mówią — odparła także w tym języku — że ożeniłeś się. Nie mogę w to uwierzyć. Chybabyś mnie o tym uprzedził?!

— Miałem zamiar ci powiedzieć dziś po południu. — Zanim Antoinette zdążyła coś powiedzieć, wstał. — Skoro już tu jesteś, przejdźmy do innego pokoju. Porozmawiamy.

Wyszedł nie czekając na nią. Podążyła za nim, nie zaszczycając Keldy nawet spojrzeniem. Jej ruchy przypominały Keldzie gazele, które widziała dziś rano.

Siedziała przy stole jak skamieniała. A więc to tę kobietę widziała kuzynka Yvette i nazwała metisse. Nie było wątpliwości co do charakteru jej związku z lordem Orsettem. Była piękna i tak pełna nieokiełznanej siły witalnej jak bujne kwiaty za oknem.

Prysło gdzieś poczucie bezpieczeństwa i przynależności do tego miejsca, czym się tak rozkoszowała przed obiadem. Ogarnęło ją przygnębienie, tak jakby nagle zgasły promienie słońca.

W odpowiedzi na toast lorda Orsetta powiedziała, że chciałaby mu dać szczęście. Teraz czuła, że jej wysiłki są bezcelowe, skoro on ma Antoinette. A więc została potraktowana jak narzędzie, którego jedynym celem jest skłonić inne kobiety, zwłaszcza Francuzki, żeby przynosiły się do Dakaru! On nie dostrzega w niej człowieka. To, że ona chce coś dla niego uczynić, nie interesuje go. Z czasem nawet udawanie, że lubi jej towarzystwo, stanie się dlań irytujące. Przez te wszystkie lata, kiedy nazywano go odludkiem, on miał swój świat, który dawał mu zadowolenie: swoją książkę i swoją Antoinette!

Jakże nieatrakcyjnie wyglądała ona, Kelda, przy pięknej Mulatce! Antoinette jest wysoka, ma pełen gracji chód kobiet od pokoleń noszących ciężkie ładunki na głowach. I niewątpliwie bujny temperament, rezultat mieszanej krwi, oraz joie de vivre, francuską radość życia, podobnie jak Yvette. Zawsze wiedziała, że Francuzi mają wdzięk, którego Anglicy nie umieją nawet naśladować. Antoinette na pewno odziedziczyła po ojcu ten urok i dowcip, a po matce pogodną cierpliwość, charakterystyczną dla Afrykanów. Była w niej też tajemniczość i magia, o której mówił lord Orsett.

Kelda zastanawiała się, od jak dawna są razem. To już pewnie całe lata, wypełnione wzajemną miłością. Nie mógł się jednak z nią ożenić. A może ona, wbrew wszystkiemu, ciągle na to liczyła? Dziś jej skryte nadzieje legły w gruzach.

Lord Orsett wszedł do jadalni. Nie wyglądał na poruszonego i niespiesznie wrócił na swoje miejsce u szczytu stołu.

Przyglądała mu się.

O czym rozmawiali z Antoinette? Co zaszło między nimi?

— Proszę wybaczyć to zajście — powiedział swoim zwykłym cynicznym tonem. — Antoinette chciała się upewnić, że dostanie swoje pieniądze, i trochę przesadziła, przychodząc po ich odbiór osobiście o tej porze.

Mówił to w taki sposób, tak bagatelizując całą sprawę, że Keldę ogarnęła złość. Bezwiednie wstała na równe nogi.

— To nieprawda! Jestem tego pewna. Jak pan może w ten sposób wyrażać się o kimś, kto darzy pana miłością! Może pan o tym nie wie, ale kobiety też mają serca!

Głos jej się załamał, a że nie chciała, by patrzył na jej wzburzenie, odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Na szczycie schodów chciała skrócić do swojej sypialni, ale stojąca tam pokojówka skierowała ją w przeciwną stronę:

— Tędy, proszę pani.

Kelda nie miała ochoty się spierać i pozwoliła zaprowadzić się do sypialni, której jeszcze nie widziała. Stało tu wielkie łóżo z baldachimem na czterech kolumnach i białą moskitierą. Całość przypominała galeon pod żaglami.

Nie miała sił rozglądać się, chciała zostać sama.

— Trzeba sobie zrobić sjęstę, madame — doradziła pokojówka.

Pozwoliła rozpiąć i zdjąć z siebie suknię, włożyć cieniutką koszulkę nocną obszytą koronkami i, zanim się obejrzała, leżała w łóżku, rolety były zaciągnięte, a drzwi delikatnie zamknęły się za wychodzącą pokojówką.

Kelda ukryła twarz w dłoniach i — jakby sam ten gest spowodował pęknięcie jakiejś tamy — wybuchnęła gorzkim płaczem. Płakała rozpaczliwie jak opuszczone dziecko, tak jak nie płakała od czasu, gdy zginęli jej ojciec i matka. Nie wiedziała, dlaczego czuje się tak nieszczęśliwa. Po raz kolejny jej świat rozpadł się na kawałki, jej marzenia legły w gruzach, wszystko, na co się cieszyła, rozplynęło się w nicość.

Ocknęła się. Musiała spać kilka godzin. Usłyszała, jak ktoś krząta się ostrożnie po pokoju.

Otworzyła oczy. Gdy się kładła, słońce stało wysoko. Teraz było ciemno. Początkowo pomyślała, że to tylko zasłony są zaciągnięte, ale okazało się, iż to już wieczór.

Pokojówka zapalała świece na toaletce.

— Która godzina? — spytała.

— Siódma, madame. Przygotowałam pani kąpiel. Spała tak długo nie tylko dlatego, że była zmęczona i niewyspana po wczorajszej nocy, ale także, ponieważ wyczerpały ją wypadki tego dnia i niedawny płacz.

— Chyba trzeba wstawać — powiedziała do siebie, mając nadzieję, że może długi, długi sen pozwoli jej nie spotykać się z człowiekiem, który został jej mężem.

— Kolacja będzie o ósmej, madame. Pan nie lubi czekać — powiedziała łamaną francuszczyzną pokojówka.

Musiała zatem wstać. Kąpiel była cudownie chłodna i odświeżająca. Twarz splukała zimną wodą licząc na to, że zmyje ślady łez. Ale natychmiast pomyślała, że to i tak nie ma znaczenia. On nawet na nią nie spojrzył po tym, jak bezceremonialnie wyszła po obiedzie. Na pewno poszedł do Antoinette, żeby się odprężyć. Adoruje ją, dowcipkuje, śmieją się...

Postanowiła, że nie będzie myśleć o Antoinette. To była intymna strona życia lorda Orsetta i nawet jako jego żona nie miała prawa w nią ingerować.

Nareszcie zrozumiała, dlaczego tak długo przebywał w Afryce i nie miał zamiaru wracać do Anglii. Krewni myśleli, że jest odludkiem, tymczasem mając przy sobie tak cudowną istotę jako kochankę (Kelda nie mogła dłużej unikać tego słowa), nie musiał szukać innego towarzystwa.

Kelda prowadziła życie prawie zakonne. Nie miała styczności z mężczyznami, nie miała też nikogo, kto mógłby jej uświadomić, jak mężczyźni patrzą na świat i na kobiety. Cała jej wiedza na ten temat pochodziła z zasłyszanych strzępów rozmów chichoczących pensjonarek pani Gladwin i z książek ze szkolnej biblioteki, które z rzadka tylko dotykały

tematu miłości. Od ojca słyszała, że mężczyźni z wielu afrykańskich plemion mają po cztery żony, a sułtan turecki ma cały harem. Nie była to wiedza, która mogłaby pomóc w realnym życiu. Teraz, gdy ujrzała Antoinette, wydało jej się, że mężczyzna nie jest w stanie się oprzeć tak pięknej kobiecie, i że w konkurencji z nią ona, Kelda, nie ma szans u lorda Orsetta.

Wytarła się miękkim ręcznikiem i zaczęła wkładać bieliznę, gdy pokojówka oznajmiła:

— Jako panna młoda powinna pani wystąpić dziś w białej sukni, madame.

— Chyba żadnej nie mam — odparła. Nie czuła się wcale jak panna młoda. Jej oczy były jeszcze zaczerwienione od płaczu i nie miała najmniejszej ochoty schodzić na dół, do lorda, który na pewno się gniewa i ma jej za złe dzisiejsze zachowanie.

Pokojówka przyniosła jednak jedną z sukien Yvette. To była suknia balowa z białego atłasu pokrytego tiulem, zdobionym diamencikami. Yvette nie wzięła jej, bo zajmowała za dużo miejsca, a poza tym twierdziła, że nie do twarzy jej w bieli.

Suknia była wspaniała i całkiem odmieniła Keldę. Z ramionami otulonymi tiulem z diamencikami połyskującymi przy każdym ruchu wyglądała rzeczywiście jak panna młoda.

Pokojówka uczesała ją modnie, upinając włosy wysoko. Patrząc w lusterko zawołała:

— Attendez un moment, madame! — i wybiegła z pokoju.

Kelda zastanawiała się po co. Kiedy po chwili wróciła, niosąc dwie białe kamelie, zrozumiała. Pokojówka upięła je na czubku głowy. Stanowiły doskonałe dopełnienie kreacji.

— Madame est tres belle! — powtarzała z podziwem pokojówka.

Kelda zmusiła się do uśmiechu podziękowania.

Szła na dół, czując się nieco pewniej. Chyba lorda Orsetta nie ubawi jej wyszukany strój? A może uzna go za pretensjonalny? Przecież ich małżeństwu daleko było do normalności. Ogarnęła ją panika. Zanim doszła do hallu, miała ochotę wrócić biegiem na górę i przebrać się w zwykłą sukienkę.

Majordomus jednak już czekał na nią. Była już za minutę ósma, a lord Orsett nie znosił spóźniania się. Podążyła za służącym do wielkiego salonu, gdzie oczekiwał jej mążnek.

On również ubrał się specjalnie na tę okazję. We fraku prezentował się wspaniale.

Podniósł kielich szampana i wręczył jej.

— Mówiono mi, że spałaś.

— Przepraszam, jeśli to w czymś przeszkadzało.

— Nie, dobrze zrobiłaś. Wczoraj pewnie nie dospałaś.

Na pewno jest wściekły — pomyślała. Służba już mu doniosła, że całą noc się pakowały. Tymczasem lord ciągnął pogodnym tonem:

— Gwałtowne i nieprzewidziane przeżycia zawsze bardzo męczą, tak przynajmniej jest w moim przypadku.

Wyglądało na to, że próbował rozproszyć skrepowanie Keldy po spotkaniu z Antoinette. W tej sytuacji nie mogła nie podjąć konwersacji. Powiedziała więc z lekkim uśmiechem:

— Żałuję, że nie mogłam pojechać na popołudniową przejażdżkę, którą, zdaje się, mieliśmy w planie.

— Lepiej, że spałaś i nie musiałaś jechać ze mną do gubernatora. To nie była najprzyjemniejsza wizyta. — Mówił to tak lekkim tonem, że Kelda spojrzała na niego zaskoczona. — Jego ekscelencja był niezwykle rozczarowany — rzekł w odpowiedzi na jej

pytający wzrok — ale pogratulował mi i obiecał wydać uroczyste przyjęcie, jak tylko będziesz czuła się na silach wziąć udział w takiej orgii obżarstwa.

Roześmiała się, bo sądziła, że oczekiwał tego po niej. Zaanonsowano kolację, więc przeszli do jadalni.

Kelda stanęła jak wryta w drzwiach. Nie spodziewała się żadnej uroczystości związanej z ich małżeństwem. Tymczasem pokój zmienił się nie do poznania. Girlandy białego kwiecica zwisały z sufitu, w rogach stały wielkie naczynia z takimiż kwiatami.

Stół był nakryty całkowicie na biało i przystrojony takimi samymi kameliami, jak te, które miała we włosach, a na stole stał ogromny tort weselny.

Wszystko to było niespodziewane i niebywale podniecające, zwłaszcza dla osoby, która w życiu nie brała udziału w żadnej uroczystości.

— Pomyślałeś o tym... Jak... udało ci się przy... gotować coś tak cudownego? — wyjąkała.

— Podoba ci się, mam nadzieję.

— Naturalnie, że tak. Ale... tort... Nie mógł przecież zostać tak szybko upieczony?

— Muszę się przyznać: został po prostu kupiony. Szef kuchni był wściekły. Ale chce się zrehabilitować i przygotował taki obiad, że będziemy wcinać, aż się nam będą uszy trzęsły.

Kelda rozglądała się dookoła jak dziecko, które pierwszy raz zabrano do wesołego miasteczka.

Kwiaty nie tylko napełniały pokój piękną wonią. Spowijały również kandelabr, a przesączaające się przez nie światło świec nadawało wszystkiemu wygląd jak z bajki.

— Zrobiłeś to dla mnie? Naprawdę dla mnie? — spytała bez tchu, nie mogąc w to uwierzyć.

— Chciałbym zrekompensować trochę banalność tej uroczystości, która odbyła się przed obliczem mera. Wydaje mi się, że każda kobieta chciałaby mieć od razu katedrę, chóry i co najmniej dziesięć druhen.

Kelda wybuchnęła śmiechem.

— Nie znam tu nikogo, kogo mogłabym poprosić na druhenę.

Nagle uzmysłowiła sobie, że tak wystawny ślub lord Orsett już pewnie miał — ze swoją pierwszą żoną. Zaaferowana sprawą Antoinette zapomniała, że był już raz żonaty i owdowiał. Czy kochał żonę nad życie? Może dlatego teraz zachowuje się

tak cynicznie i odwrócił się od świata, że umarła? Może przysiągł sobie już nigdy nie kochać? Może nie mógł znaleźć kobiety, która mogłaby dorównać tamtej?

Może gdybym była Francuzką, bardziej bym mu odpowiadała? — pomyślała.

Rzuciła nań szybkie spojrzenie spod rzęs i stwierdziła, że nie ma mężczyzny elegantszego i przystojniejszego.

Jej oczy napotkały jego oczy. Zauważyła w nich coś zastanawiającego. Może to skutek tego dziwnego światła kandelabru?

Uświadomiła sobie, że jej serce bije niespokojnie, ale — w jakiś niepojęty sposób — ulatuje przygnębienie, które jej ciążyło od południa.

ROZDZIAŁ 7

Wykwintny i obfity obiad miał się ku końcowi. Majordomus podszedł do lorda Orsetta i powiedział coś półgłosem, na co lord odpowiedział potakującym skinieniem. Zwrócił się do Keldy:

— Służba pragnie złożyć nam najlepsze życzenia szczęścia. Ponieważ, jako muzułmanom, nie wolno im wychylić toastu za nasze zdrowie, rozdzielmy między nich tort.

— Na pewno będzie im smakował.

— Jutro musimy ugłaskać szefa kuchni i spróbować wypieku jego roboty. Pokrójmy więc ten i niech go sobie biorą. — Mówiąc to lord Orsett wstał od stołu i podszedł do tortu, a Kelda przykładowie podążyła za nim.

Był to typowy francuski piętrowy tort, polukrowany na biało, z dużym srebrnym dzwonkiem na szczycie, srebrnymi podkowami i imitacją kwiatu pomarańczowego na każdym z trzech pięter. Majordomus podał Keldzie długi, ostry nóż. Wzięła go, ale nie miała pojęcia, jak zabrać się do tortu. Ciąć od góry czy od spodu? Lord Orsett zauważył:

— Myślę, że moglibyśmy zrobić to razem.

Położył swoją dłoń na jej dłoni. Dotyk jego palców i bliskość jego ciała przyprawiły ją o dziwny dreszcz — na poły przyjemny, na poły bolesny — nie znany dotąd.

Dotknął ją po raz pierwszy, jeżeli nie liczyć chwili w biurze mera, kiedy wsunął jej obrączkę na palec. Wtedy była tak oszołomiona, że w ogóle nie zwróciła na to uwagi, wszystko wydawało jej się snem.

Teraz była w pełni świadoma bliskości jego ciała. Jej ręka prowadzona jego dłonią wbiła nóż w tort i przecięła go z góry na dół. Powiedział:

— Zadość uczyniliśmy weselnej tradycji. Teraz można go stąd zabrać i niech się nim cieszy służba. A my chodźmy do salonu. Dziś zapraszam do tego w najdalszym skrzydle domu.

Keldę zdziwił nieco ten wybór, ale gdy weszli, okazało się, że i ten pokój został przystrojony białymi kwiatami, może nie z takim przepychem jak jadalnia, niemniej jednak wszędzie stały ogromne wazony i woń lilii rozlewała się wokół.

— Dziękuję ci — powiedziała, wzruszona jego troskliwością. Podeszła do stolika, gdzie stała prześliczna kompozycja z kamelii, i przyglądała się kwiatom. On zbliżył się do niej i stanął w odległości zaledwie paru stóp.

— Dlaczego płakałaś? — Głos miał łagodny, zgoła nie ten co zazwyczaj. Znów poczuła napływające łzy. To z powodu zmęczenia — tłumaczyła sobie, ale wiedziała, że przyczyna jej rozpaczliwego płaczu była inna. A że nie odpowiadała, lord Orsett dodał po chwili: — Mam coś dla ciebie. Należy ci się jakiś ślubny prezent!

Kelda oczami wyobraźni zobaczyła naszyjnik z bursztynów oprawnych w złoto, jaki nosiła Antoinette, i szybko, nie dobierając słów, powiedziała impulsywnie:

— Nie chcę prezentu. Nie chcę żadnych prezentów od ciebie.

Musiał być zaskoczony. Nie spojrzała jednak na niego z obawy, że zauważy łzy kręcące się jej pod powiekami.

— Skąd ta niechęć? — zapytał. Potem, jakby zaczął się domyślać, dodał: — Myślę, że mamy wiele spraw do omówienia. Usiądź, posłuchaj mnie. — Odczekał jeszcze chwilę i dorzucił: — To ważne dla naszej przyszłości. Wspólnej.

Zanim wypowiedział ostatnie słowo, zrobił pauzę i Kelda wstrzymała oddech. A więc przewiduje dla nich wspólną przyszłość, pomimo że tak istotna część jego życia pozostanie poza nią! Posłusznie usiadła na brzeжку sofy. Wybrał krzesło stojące naprzeciw. Miała nieprzyjemne wrażenie, że przypatruje się i czyta z jej twarzy najskrytsze uczucia. Spuściła wzrok na swoje ręce złożone na podolku.

Cisza przeciągała się i Kelda doszła do wniosku, że lord Orsett zrezygnował z rozmowy. Wtem zaczął cicho, jakby bezosobowo.

— Wiesz pewnie od Yvette, że byłem żonaty z jej ciotką Ginette de Villon? — Skinęła głową, bojąc się, że głos ją zawiedzie. — Może się zastanawiałaś, a już Yvette na pewno, dlaczego wywozłem moją żonę, miłośniczkę bujnego paryskiego życia, tutaj do Dakaru, gdzie doczekała śmierci.

Mówienie o tym sprawiało mu widoczną trudność, pomimo to głos brzmiał udawanym spokojem. Domyślała się, że z nikim jeszcze nie rozmawiał tak szczerze. Upewniła się ostatecznie, gdy usłyszała:

— Tylko moja żona wiedziała, dlaczego tu osiedliśmy, nie wyznałem tego dotąd nikomu.

Kelda poczuła się zażenowana.

— Może wolałbyś o tym nie mówić?

— Masz prawo wiedzieć o wszystkim. Między nami nie powinno być żadnych tajemnic.

Spojrzała na niego, zdumiona. Nie spodziewała się takiego obrotu rzeczy. On ciągnął:

— Zakochałem się w Ginette od pierwszego wejrzenia. Spotkaliśmy się w Londynie, wydawała mi się fascynująca i tak niepodobna do innych kobiet, które spotykałem na balach i przyjęciach, a które moja matka uważała za odpowiednie kandydatki do małżeństwa...

Ściągnął usta, a po chwili kontynuował:

— Moje zaloty zostały uwieńczone błyskawicznym powodzeniem. Byłem młody i naiwny, więc nie zdziwiło mnie, że Ginette, która z początku nie była mi zbyt przychylna, z dnia na dzień zmieniła zdanie i wkrótce nie było wiadomo, kto za kim się uganiał: ja za nią czy ona za mną. — W jego głosie zabrzmiała gorzka drwina, jakby kpił z samego siebie. — Byłem zbyt uszczęśliwiony, aby coś podejrzewać. Wkrótce po zaręczynach wybraliśmy się do Paryża, gdzie rodzina de Villonów przyjęła mnie z otwartymi ramionami. Raz-dwa wzięliśmy ślub i niebawem — po krótkim miesiącu miodowym — wróciliśmy do Londynu.

Słuchała z uwagą. Napięcie w głosie lorda Orsetta świadczyło o tym, jaką trudność sprawia mu ta relacja.

— Upłynęło trochę czasu, zanim zrozumiałem, skąd wzięła się u mojej żony słabość do Londynu i dlaczego nasz ślub nastąpił w takim pośpiechu.

Przerwał znów na chwilę.

— Nikt nie odważył się powiedzieć mi prawdy wprost. Zacząłem domyślać się wszystkiego ze spojrzeń, uśmiezków, półsłówek, nagłego milczenia, gdy wchodziłem gdzieś, tak jakby mówiono o mnie... Wreszcie łuski opadły mi z oczu — ciągnął z goryczą. — Nie dało się długo ukrywać prawdy. Za wiele osób było wmieszanych w intrygę.

Spojrzała nań pytająco. Zmarszczki na czole pogłębiły mu się, jakby wspomnienia napęłniły go znowu bólem.

— To było jakieś dwa miesiące po ślubie. Dowiedziałem się wszystkiego. Zrozumiałem, dlaczego tak zależało jej na małżeństwie ze mną.

Kelda nie mogła powstrzymać się od pytania:

— Cóż to było?

— Jeszcze przed pierwszym pobytem w Londynie poznała we Francji księcia Walii, następcę tronu. Zawrócił jej w głowie, bardziej swoją pozycją i atmosferą, jaka go otaczała, niż czymkolwiek innym. Pojechała za nim do Anglii i udało jej się postawić na swoim — została jego kochanką.

— To straszne — westchnęła Kelda.

— Książę postawił jeden warunek: nie będzie angażował się w romans z kobietą niezamężną. Wszystkie jego kochanki były małżonkami jakichś zadowolonych z siebie głupców. Taką rolę przeznaczyła mi moja wybranka!

Kelda nie mogła uwierzyć własnym uszom.

— Kiedy dowiedziałem się całej prawdy — powiedział szorstko — oświadczyłem Ginette, że się bardzo przeliczyła. Nie zamierzam tolerować dłużej takiej hańby. I nikomu nie pozwolę szargać swojego nazwiska.

Znów przerwał, choć Keldzie zdawało się, że jego głos brzmi jeszcze w pokoju wypełnionym zapachem kwiatów.

— Słyszałem o Dakarze już przedtem. Interesowałem się Afryką, pełną wtedy jeszcze białych plam. Zabrałem tu Ginette wbrew jej protestom. Po dwóch latach zmarła.

Jego głos jakby odpłynął w dal. Po chwili ciszy Kelda przemówiła miękko:

— Tak mi przykro. Musiało cię to bardzo zranić.

— Tak, „zranić” to właściwe słowo — odparł. — Najbardziej ucierpiała moja miłość własna. Nie mogłem znieść tego, że śmiano się, drwiono, prześmiewano się za plecami, dowcipkowano ze mnie, tak jak z innych mężów w takiej sytuacji. Po śmierci Ginette mógłbym właściwie wrócić, ale już nie miałem ochoty.

— Zostałeś tu, aby pisać swoje dzieło...

— Wpierw zacząłem zbierać materiały — sprostował. — Przejechałem ten kraj wzdłuż i wszerz, poznałem rozmaite plemiona, mieszkałem wśród tubylców, poznawałem obyczaje, o których nikt przede mną nie miał pojęcia.

— To musiało być bardzo zajmujące.

— Zbudowałem ten dom — ciągnął — a kiedy był gotowy, okazało się, że bardzo cenię sobie jego wygodę, poczucie swobody i odcięcia od zgiełku świata. Przestałem tęsknić za przyjaciółmi z Anglii. Jeżeli potrzebowałem towarzystwa, zawsze znajdowałem mądrych rozmówców, takich jak gubernator.

Przerwał.

Słowo „towarzystwo” przypomniało Keldzie o Antoinette, a on, jakby zgadując jej myśli, dodał:

— Na pewno wiesz, że Francuzi lepiej niż Anglicy zdają sobie sprawę z tego, że mężczyzna, niezależnie od pozycji, potrzebuje kobiety.

Kelda z trudem chwyciła powietrze. Jasne, że lord Orsett, taki przystojny, musiał pożądać kobiet, a one pożądały jego. Oczami wyobraźni znów ujrzała Antoinette w całej jej krasie, w fioletowej boubou i w złotej biżuterii, którą niewątpliwie dostała od lorda. Udręka i rozpacz znów ją ogarnęły, jak po południu, gdy gorzko płakała w pokoju na górze. Nie chciała słuchać opowieści o tym, jak wiele Antoinette znaczyła dla niego, i — że on nie zrezygnuje z niej pomimo małżeństwa. Zdawało jej się, że lord teraz poprosi ją o wyrozumiałość i akceptację faktu, że francuskim zwyczajem będzie utrzymywał kochankę. Pamiętała z książek, że królowie Francji zawsze mieli i żony, i kochanki, i że taki stan rzeczy był akceptowany przez dwór i cały naród.

Miała ochotę wykrzyknąć, że więcej już nie znieś. Próbowała się opanować. Zaciskała palce aż do bólu i zmusiła się, aby słuchać. Lord Orsett ciągnął dalej.

— Izolacja Dakaru od Europy stanowi poważny problem. Nawet poczta dochodzi tu z dużym opóźnieniem. Rząd i kompanie handlowe przymknęły więc oko na małżeństwa swoich pracowników z miejscowymi kobietami. — Przerwał. — Ci, co się nie żenią, biorą sobie oczywiście kochanki. Jak już mówiłem, całą tą sprawą rządzą pewne niepisane prawa, które strzegą interesów obu stron, i które są ściśle przestrzegane.

— Tak, pamiętam.

— Mulatki, metisses, mające połowę krwi francuskiej, odpowiadają nawet najwybredniejszym gustom. Wiele z nich ma wykształcenie, w przeciwieństwie do większości tubylców, którzy nie umieją czytać ani pisać.

A więc Antoinette jest nie tylko piękna, ale i mądra — pomyślała Kelda. Tego można się było po lordzie spodziewać. Na pewno posiadając głęboką wiedzę o miejscowych plemionach mogła pomagać mu w pracy nad książką. Mogła mu służyć za przewodnika w podróżach po Afryce. A ona, Kelda, liczyła na to, że będzie mu pomocna!

Z żalem pomyślała, że oto wraz ze wszystkimi jej marzeniami i ideałami legła w gruzach jej ostatnia nadzieja: że może się na coś lordowi przydać. Nie ma sensu nawet się odzywać. Jedyne miejsce, jaką ma do odegrania w jego życiu, to rola osoby towarzyszącej przy oficjalnych okazjach. Poza tym czeka ją samotność, podczas gdy Antoinette będzie dzieliła z nim wszystkie troski i radości. Chciała wykrzyknąć oburzenie na niesprawiedliwość takiego układu. Nie powinien być się z nią żenić!

Odczuwała dobrze znany ból. Po raz pierwszy go doznała, gdy znalazła się w sierocińcu i zdała sobie sprawę, że jest po prostu jedną z rzeszy bezimiennych, zapomnianych dzieci.

— Staram ci się wyjaśnić — mówił tymczasem lord Orsett — jaką rolę odgrywała w moim życiu Antoinette.

— Już wiem jaką... — przerwała.

Zdawało jej się, że nie zniesie nic więcej. Nie chciała słuchać tego, co miał jej do powiedzenia o tej Mulatce. Nie chciała wyjaśnień, ile ona znaczy dla niego i dlaczego on nie może jej porzucić.

Lord Orsett ciągnął dalej:

— Antoinette nie miała prawa wtargnąć tu dzisiaj. Powiedziałem jej to. Francuska przebiegłość i wyrachowanie przywiodły ją tutaj.

Uniosła głowę zdziwiona. Lord kontynuował:

— Antoinette była ze mną związana przez trzy lata. Przez ten czas odkładała każdy grosz ode mnie, więc teraz, kiedy nasz związek jest skończony, może wyjść za jakiegoś chłopaka tubylca, który też ma oszczędności i mogą razem uruchomić sklepik czy warsztat.

— Chcesz powiedzieć, że... żyjąc z tobą... chciała wyjść za kogoś innego?!

— Mówiłem już: takie rzeczy są z góry ustalone w Dakarze i we wszystkich koloniach francuskich. Antoinette miała dosyć oleju w głowie, aby zrozumieć, że najprostszym sposobem zdobycia niezależności materialnej jest zostać utrzymanką bogatego białego.

— Ale przecież ona cię chyba kochała?!

— Nie sądzę, żeby to jej przyszło do głowy. Doceniała moją hojność, zapewniłem jej komfort, jakiego by w innych warunkach nie zaznała, a ona była dyskretna. Takie układy znane są na całym świecie.

Jakby myśląc, że Kelda jeszcze nie rozumie, wyjaśnił:

— Celem kochanki jest wyciągnąć jak najwięcej ze swojego protektora. Oboje uzgadniają, że — kiedy ich związek zostaje rozwiązany — nie ma miejsca na sceny. Mężczyzna płaci za przyjemności, jakie otrzymuje, i to wszystko. Sprawa kończy się bez dramatów.

— A Antoinette nie żał stracić ciebie? — pytanie było ledwie słyszalne, ale dotarło do lorda.

— Nie uroni po mnie ani jednej łyzy. Tego jestem pewien. — Uśmiechnął się. — Nie zdziwiłoby mnie, gdyby teraz celebrowali ślub ze swoim młodym przyjacielem. Ładna sumka, którą jej dziś wręczyłem, z powodzeniem wystarczy na wesele.

— Nie... nie rozumiem — powiedziała, właściwie do siebie.

Nie mogła tego dłużej słuchać. Wstała i podeszła do otwartego okna. Rozchyliła zasłony i wyjrzała w noc. Chłodniejsze niż za dnia, ale wciąż ciepłe i wilgotne powietrze wpłynęło do pokoju. Księżyc srebrzył powierzchnię morza, a niebo usiane było gwiazdami.

Kelda wsłuchiwała się w swoje wnętrze. Dlaczego ostatnie słowa lorda sprawiły, że spadł jej kamień z serca?

— Ja już wszystko wyjaśniłem — powiedział łagodnie, stając za nią — a teraz twoja kolej na wyjaśnienia.

— Jakie?

— Chodzi o dwie rzeczy. Po pierwsze, dlaczego tak płakałaś, a po drugie, co miało znaczyć twoje stwierdzenie „kobiety też mają serca”. — Jego głos był cichy i czuły, ale wzruszenie zatykało jej gardło. Po chwili dodał: — Myślałem, że kobiety mają serca tylko w powieściach. Te, które znałem, traktowały mnie jak narzędzie realizacji swoich celów. Nic dziwnego, że stałem się, jak to określiłaś, diaboliczny.

— Przykro mi, że tak powiedziałam. Teraz wiem, że nie jesteś — wymruczała.

— Kobiety też mają serca — powtarzał z namysłem — chciałbym się o tym przekonać. Czy ty masz serce?

— Chyba tak...

— Mam na myśli siebie. Co do mnie czujesz? Co odpowiedzieć? Myślała gorączkowo. Lord Orsett mówił dalej:

— Myślałem, że zdecydujesz się na małżeństwo z gubernatorem, kiedy zaproponowałem ci wybór. Przecież jego pozycja jest znacznie wyższa niż moja. Poza tym jest starszy, więc umierając szybciej pozostawiłby cię zamożną wdową.

— Czy uważasz, że mogłabym kierować się takimi pobudkami?!

— Ty może nie, ale większość kobiet na pewno tak.

— Myślisz tak, bo zadawałaś się z nieodpowiednimi kobietami. Jestem przekonana, że marzeniem każdej normalnej kobiety jest pokochać mężczyznę dla jego osobistych zalet, a nie dlatego, że może jej ofiarować majątek.

— Znasz takie kobiety?

— Jestem pewna, że Yvette nie wyszłaby za mąż dla pieniędzy. Poślubiłaby Remy'ego, nawet gdyby nie miał grosza przy duszy.

— A ty jak byś postąpiła? — Kelda nie odpowiedziała, więc dodał: — Nie odpowiadasz na moje pytania!

— Naprawdę nie wiem, co chcesz wiedzieć — odparła.

— Nie umiesz kłamać — powiedział. — Dziś rano wiedziałem, że coś cię dręczy. Byłaś napięta i przestraszona. Muszę przyznać, że nie odgadłem przyczyny, ale domyślałem się twoich uczuć.

Miał rację, ale nie przytaknęła.

— Kiedy jechaliśmy do ślubu, byłaś zalekniona i mogłem to zrozumieć. Potem, w drodze powrotnej, stopniowo dochodziłaś do siebie i przy obiedzie wyglądałaś na prawie szczęśliwą. Czulem, że wzrasta twoja życzliwość ku mnie, jakbyś znalazła coś, czego od dawna szukałaś, i co dawało ci pewność, jakiej nie doświadczyłaś wcześniej.

Kelda była tak zaskoczona, że odwróciła się i spojrzała nań. W świetle świec i księżycy dojrzała w jego oczach uczucie, które zmusiło jej serce do oszalałego bicia. Nie mogła już oderwać od niego wzroku.

— Wtedy przyszła Antoinette — rzekł cicho. — A gdy wróciłem do jadalni, byłaś smutna. Kiedy mówiłaś, że kobiety też mają serca, głos załamywał ci się. — Podszedł krok bliżej, a Kelda wpatrywała się w jego twarz. — Potem płakałaś. Te łzy płynęły prosto z serca, z twojego serca. Chciałbym, żeby należało do mnie. — Mówił cicho i sugestywnie. Poczula znów łzy gromadzące się pod powiekami

i zanim zdążyła coś na to poradzić, już ciekły jej po policzkach. Chciała się odwrócić, ale objął ją.

— Czy to łzy z mojej przyczyny? W takim razie mają dla mnie wielką wartość.

Nie była w stanie nic mówić. Mogła tylko ukryć twarz na jego piersi. Jego wargi muskały jej włosy.

— Tak się boję, tak bardzo boję, że czeka mnie znów rozczarowanie.

Tyle było bólu i lęku w jego głosie, tak sprzecznych z jej wyobrażeniami o nim, że przestała się go obawiać.

— Pragniesz... mnie? Naprawdę?

— Nie masz pojęcia, jak bardzo.

— Przecież ona jest taka piękna. Nie sądziłam, że ja... mogę cokolwiek dla ciebie znaczyć...

Uśmiechnął się czule.

— Zrozum, nie pokochałem nikogo przez te wszystkie lata. To, co do ciebie czuję, jest tak świeże, odmienne...

— Naprawdę?

Podniosła oczy. Po jej policzkach wciąż jeszcze płynęły Izy, ale oczy błyszczały ze szczęścia. Przeszedł ją dreszcz.

— Kocham cię! — powiedział zdecydowanie.

— Pokochałem cię od razu, ale wmawiałem sobie, że to złudzenie, że nie mam szans na wzbudzenie twych uczuć, że możesz się połaskoczyć jedynie na mój majątek.

— Jak... jak mogłeś... mnie o coś takiego podejrzewać?!

Pochylił głowę, spojrzał jej w oczy i powiedział:

— Powiedz mi to, co chcę usłyszeć. Powiedz, najdroższa!

Na jej policzkach wykwitł rumieniec, kiedy wyszeptwała ledwo dosłyszalnie:

— Kocham cię! Dlatego płakałam... Myślałam, że cię utraciłam, że nie będziesz chciał mnie znać...

Jej słowa zostały przypieczętowane wargami lorda Orsetta. Miała wrażenie, że w tym pocałunku mieszczą się wonie wszystkich kwiatów wokół, piękno słońca nad Dakarem, księżyc i gwiazdy. Był tylko on i wypełniał sobą jej świat.

Tulił ją wciąż mocniej i mocniej, gdy jego wargi były coraz bardziej zaborcze, namiętne, a ona nie czuła już lęku.

Przemknęło jej przez myśl, że teraz mogłaby nawet umrzeć, bo poznała doskonałość i pełnię miłości, której nie spodziewała się zaznać. Ale chciała żyć. Chciała żyć dla tej miłości, którą odnalazła, z człowiekiem, który jej biedną, wygłodzoną duszę uznał za swoją.

Gdy wreszcie uniósł głowę, wydała pomruk protestu, nie chcąc, żeby przeminęła rozkosz, którą ją napełnił. Powiedziała nieporadnie:

— Kocham... cię... Jak mam powiedzieć, jak bardzo cię kocham...?

— Po prostu powtarzaj mi to, dopóki ci nie uwierzę, a ty nie uwierzysz mnie. Nic poza tym się nie liczy.

Kelda chciała coś powiedzieć, ale znów spadł na nią grad pocałunków.

Ocknęła się i stwierdziła z uczuciem niewyobrażalnego szczęścia, że głowa jej spoczywa na ramieniu męża. Błady świt przesączał się przez zasłony. Przysunęła się bliżej i powiedziała z niedowierzaniem:

— Wciąż tu jesteś...

— Jestem, kochanie.

— Jak mogłam zasnąć i rozstać się z tobą na chwilę?

— Cały czas miałem cię przy sobie — odparł. — Nigdy się nie rozstaniemy.

— Czy... nadal mnie kochasz? Uśmiechnął się i pocałował jej czoło.

— Nie zadawaj głupich pytań. Chociaż, właściwie, sam miałem cię o to spytać.

— To byłoby pytanie jeszcze głupsze — odparła. — Jak to możliwe, żeby mężczyzna był taki cudowny, taki silny, a jednocześnie łagodny. I podniecający.

— Naprawdę tak na ciebie działałam? Wczoraj też?

W pytaniu zabrzmiała nutka śmiechu, nie słyszała takiej jeszcze w jego głosie. Znów ukryła twarz na jego ramieniu.

— Przecież wiesz, że tak!

— Zobaczysz, potem będzie jeszcze lepiej! Muszę cię jeszcze niejednego nauczyć, moja śliczna.

— Widzisz, jaką jestem nowicjuszka — szepnęła rumieniąc się. — Czy zachowałam się wczoraj jak trzeba?

Uścisk jego ramion wzmocnił się.

— Byłaś wspaniała, naprawdę cudowna. Taka, jaka powinnaś być.

— Będiesz mnie uczył miłości?

— Z największą rozkoszą. Kochanie, najlepiej będzie uczyć nas miłość. To ona nauczy nas, że należymy do siebie.

Kelda milczała czas jakiś, wreszcie powiedziała:

— Chciałabym o coś spytać.

— Cóż takiego, najdroższa?

— Kiedy... kochałeś się... ze mną, to były najcudowniejsze chwile. Powiedz, czy było ci inaczej niż... z innymi kobietami?

Uśmiechnął się czule, ujął pod brodę i odwrócił jej twarz ku swojej.

— Zawsze będziemy mówić sobie prawdę. I tym razem mówię prawdę: nigdy z nikim nie zaznałem takiego szczęścia jak z tobą tej nocy, najmilsza moja żono!

W jego głosie zabrzmiała powaga. Kelda wydała okrzyk rozkoszy.

— To właśnie chciałam usłyszeć. Chciałabym ci dać coś, czego nikt inny dać ci nie może. — Przerwała na chwilę, a potem dokończyła: — Wczoraj zrobiłam się taka smutna, bo znów czułam, że nie posiadam nic, że jestem po prostu „tą z przytułku”.

Ale skoro daję ci coś, czego nikt inny ci nie dał, nie jestem już biedna.

— Nigdy już nie będziesz taka, nigdy. Masz swoje miejsce w moim życiu, miejsce ważne, najważniejsze.

— Naprawdę?

— Przysięgam, że tak. Zawsze mi tego brakowało. O tym marzyłem, gdy byłem młody i głowę miałem pełną ideałów. Nie liczyłem już, że to znajdę. Mamy teraz wiele lat, żeby się wzajemnie przekonywać o naszej miłości. Kiedy ty spałaś, ja robiłem plany.

— Co za plany?

— Plany, jak by cię uszczęśliwić. Rozwazałem, co jest potrzebne do szczęścia żonie, którą ubóstwiam.

— Jak te plany wyglądają?

— Nic takiego. Zdecydowałem, że w Dakarze będziemy spędzać tylko zimę, a na lato będziemy wyjeżdżać do Anglii.

— Ach!

— Myślę, że oboje powinniśmy wrócić do naszej ojczyzny, a zwłaszcza ja, który tak ją zaniedbałem. Otworzę swój dom w Londynie, ale myślę, że najbardziej ci się spodoba mój majątek w Leicestershire. — Pocałował ją i dodał: — Będziesz miała okazję pojeździć konno po najpiękniejszych terenach myśliwskich Anglii. Mam nadzieję, że ze mną.

Kelda przelękała się. Pomyślała jednak, że lord Orsett jest jeszcze młody i nie może dłużej żyć jak odludek. Musi wrócić do swoich korzeni, do ludzi. Jako członek Izby Lordów ma obowiązki wobec swojego hrabstwa. Zastanawiała się, co by w tej sytuacji zrobiła matka, i powiedziała:

— Kochany, gdziekolwiek będziemy, będziemy szczęśliwi. Zrobię, co zechcesz, ale pamiętaj, że musisz mi pomóc. Przez ostatnie lata wiodłam takie życie, że nie będę umiała zachować się w wielkim świecie. Musisz nauczyć mnie dobrych manier, żebym nie musiała się bać.

— Niczego nie musisz się bać. Wybacz mi, kochanie, że bałaś się mnie na początku. — Roześmiał się i dodał: — Pierwszego wieczoru powiedziałaś, że próbuję grać rolę Boga. Teraz jednak mam być twoim Bogiem?

— To całkiem co innego! Wtedy kierowały tobą obojętność lub nienawiść, teraz — miłość. Nią właśnie kieruje się Bóg.

— Moja najdroższa, widzę, że masz na wszystko odpowiedź. Uwielbiam twój rozum i ciebie całą: twoją twarz, wyraziście, czułe oczy, wargi i oczywiście twoje ciało, które teraz do mnie należy.

Jego ręce zaczęły wędrować po jej skórze i Kelda uczuła, że dziwny ogień, ten sam, który został przez niego rozniecony wczoraj, budzi się znowu. Niejasna myśl przemknęła jej przez głowę, że chyba gdzieś czytała o ogniu namiętności. Ale w rzeczywistości to było zupełnie coś innego, coś, czego nawet sobie nie wyobrażała.

— Nie potrafię wyrazić, jaki jestem szczęśliwy — powiedział.

— Pragnę cię tak uszczęśliwić, żebyś już nigdy nie musiał być zły ani zgorzkniały. — Zaczął całować jej oczy. — To dziwne, ale gdy zaczęłam zakochiwać się w tobie, pomyślałam, że możesz mi zapewnić bezpieczeństwo i pewną przyszłość, czego mi tak w życiu brakowało. Teraz chciałabym, żebyś to ty czuł się bezpiecznie, chciałabym chronić cię przed przeciwnościami losu.

— O, tak. Tego się po tobie spodziewam, kochana. Teraz dopiero widzę, jak samotny i godny pożałowania wiodłem żywot. Wydawało mi się, że byłem samowystarczalny i niczego od nikogo nie potrzebuję. Tymczasem, gdy cię spotkałem, wyszła na jaw cała pustka mojego dotychczasowego życia. Zmarnowałem tyle lat.

— Nie mów tak. Książka, którą napisałeś przez te lata, to nieoceniony skarb nie tylko dla Europejczyków, którzy pragną bliżej poznać Afrykę, ale i dla samych Afrykanów.

— Chciałbym w to wierzyć.

— Oczywiście, że tak będzie i twoje dzieci będą dumne z takiego ojca.

Powiedziała z rozpędu, ale kiedy dotarło do niej, że mówi o dzieciach, policzki jej oblały się rumieńcem i znów musiała ukryć twarz na jego piersi.

— Moje dzieci! Ich także brakowało mi całe życie. — Jeszcze raz odwrócił jej twarz ku swojej. — Czy dasz mi syna, najukochańsza? Pragnę, aby narodził się w Anglii, w tym samym domu, w którym ja przyszedłem na świat. Będę dumny, jeśli moje nazwisko przejdzie do potomności nie tylko jako nazwisko autora dzieła o Afryce, ale także, jeśli będą je nosić moje dzieci.

— Zrobię, co będę mogła, żeby dać ci nie jednego syna, lecz kilku.

— I córkę, równie piękną jak ty.

— Ale pod warunkiem, że nie będziesz ich kochał mocniej niż mnie.

— Ten sam warunek stawiam tobie. Jesteś moja, cała moja i tylko moja. Będę zazdrosny nawet o własne dzieci, jeżeli będą cię za bardzo absorbować.

— Ach, nie! To dla mnie takie szczęście po tylu latach sieroctwa i odrzucenia należeć do kogoś, czuć się bezpiecznie i pewnie, że chciałabym, abyś mnie nigdy nie wypuszczał z ramion.

Patrzył na nią, widziała, jak w jego oczach rozpała się płomień i czuła na sobie jego stanowcze ręce. Wydawało się jej, że i w jej ciele rośnie płomień, a gdy dosięgną! jej warg, poczuła bolesne pragnienie, aby ją pocałował.

Podawała mu usta.

Jego serce biło na jej sercu. Wiedziała, że wstąpili na drogę do raj.